

PION

CENA 50 GR

ROK VII NR 9 (282)

WARSZAWA

5 MARCA

1939 ROKU

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

TREŚĆ

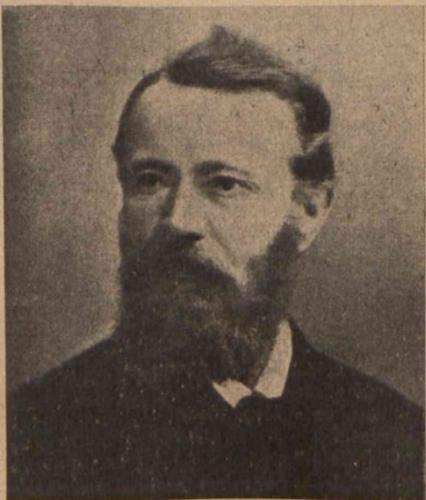
JAN EMIL SKIWSKI — NIERZECZYWISTE A JEDNAK WAŻNE
BOŻENA STELMACHOWSKA — GDYNIA CHCE MIEĆ HISTORIĘ
KAZIMIERZ SOWIŃSKI — GŁOWY BEZ KORON
ROMAN KOŁONIECKI — AMERYKAŃSKI SZEKSPIR
IGNACY WIENIEWSKI — CEZAROWE ORLĄTKO

ZBIGNIEW POLANOWSKI

DYGASIŃSKI W STULECIE URODZIN

* 1 8 3 9 — † 1 9 0 2 — 1 9 3 9

Nakładem Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska” ukazały się pierwsze tomy wydania zbiorowego *Pism Dygasińskiego*. Opracowano z pietyzmem szczegółowy plan tej edycji i ogłoszono subskrypcję na warunkach bardzo dogodnych, należy więc przypuszczać, że tym razem miłośnicy literatury poprą chwalebny inicjatywę i zbiorowe wydanie dzieł Dygasińskiego zostanie szczęśliwie doprowadzone do końca. Podobną próbę podjęto już w r. 1926, lecz sko-



ADOLF DYGASIŃSKI

czyła się ona niepowodzeniem: snadź nie wybiła jeszcze wtedy godzina literackiej ekshumacji pisarza, którego twórczość znano dotychczas tylko fragmentarycznie, wskutek czego nie można jej było należycie ocenić. Wprawdzie głosy, ukazujące dorobek Dygasińskiego w perspektywie jego istotnej wielkości, odzywały się od dość dawna, jednak nie wywarły one większego wpływu na pośmiertne losy pisarza: Brzozowski, Antoni Potocki, Żeromski nie byli wówczas tymi, którzy rozdają rangi i stanowiska. Gdyby nawet o wiele wcześniej swe opinie wypowiedzieli, na pewno by je zlekceważono; dowodem — głuche milczenie, jakim zbył Dygasińskiego w swej historii literatury Tarnowski.

Błąd Tarnowskiego czas nareszcie naprawić. Wyjątkowo przychylnie okoliczności natury historyczno-literackiej składają się na to, że nawet zapomniane utwory Dygasińskiego mogą dzisiaj zabłysnąć pełnym swym światłem; dotyczy to zwłaszcza powieści wydanych w przedostatnim dziesięcioleciu ub. wieku, obejmujących dzieje epigonów zdeklasowanej szlachty, która los oderwał od gleby i rozproszył po miastach i miasteczkach. Pierwsze tomy wielkiego

dzieła Marii Dąbrowskiej obrazują właściwie tę samą przemianę socjalną: najbliższa rodzina pani Barbary Niechcicowej, *de domo* Ostrzeńskiej, jest przecież tym pierwszym wysadzonym z siodła pokoleniem szlacheckim; uformowało ono pierwszą kadrę inteligencji miejskiej, oddanej w służbę młodym instytucjom cywilizacji przemysłowej. Popularność powieści Dąbrowskiej powinna się zatem bodaj częściowo udzielić takim książkom Dygasińskiego, jak *Spod ciemnej gwiazdy*, *Na warszawskim bruku* czy *Pan Jędrzej Piszczalski*.

Opisując ten sam proces historyczny, Dąbrowska i Dygasiński różnią się jego ujęciem. U Dąbrowskiej Ostrzeńscy i im podobni nie stacają się ku krańcom deklasaacji, a Bogumił Niechcic utrzymuje się nawet na roli, wierny tradycjom duchowym przodków, choć pracuje wśród zmienionych do gruntu warunków moralnych i materialnych. Dygasiński ukazuje potomków szlacheckich w chwili, gdy toną w morzu wielkomięskiej nędzy, i przekonująco udowadnia, że tak właśnie stać się musiało. Brzozowski przydał tej wizji Dygasińskiego komentarz marksistowski; jeżeli odpowiednich rozdziałów powieści Dąbrowskiej opatrzyć nim nie podobna, to tylko dlatego, że autorka *Nocy i dni* ubezpieczyła się — etycznie i historiozoficznie — abramowszczyzną. Ale z samego przebiegu ewolucji zjawisk, tak dobrze sobie znanych, i Dąbrowska i Dygasiński wysnuwają te same konsekwencje ideowe. Nie bez kozery *Rozdroże* wydane zostało prawie bezpośrednio po *Nocach i dniach*: jest ono związane z tym cyklem powieściowym wieloma podskórnymi związkami. Bogumił, przetwarzając się wewnętrznym, *chłopieje* — przejmując elementy chłopskiej świadomości klasowej, choć projekcją marzeń wybiega daleko poza jej zakres: tak objawia się u Dąbrowskiej wizja Polski chłopskiej, nie obca również najskrytszym i najwznioślejszym równotom Dygasińskiego.

W osobie Bogumiła znalazł się w jedno — by posłużyć się metaforami Dygasińskiego — „chłop-mysikrólik” i „pan-kukulecz”, tworząc nowy, osobliwy gatunek, dotąd w ornitologii nieznan. Ten niechcicowski kierunek deklasaacji nie istnieje w świecie *Właścicieli*: warstwa ziemiańska jest w oczach autora *Właścicieli* ginącą samolubną kastą „obszarników”, zagradzających chłopu drogę pochodu w przyszłość. Ów chłop, co „rękami własnymi wykonywa dzieła udoskonalonych machin”, skupia w sobie całą optymistyczną filozofię dziejów, jakiej holdował Dygasiński. Daleki przesadnym idealizacją, autor *Von Mollkena* patrzył na chłopstwo polskie wzrokiem zatajonego romantyka — jako na drzemiący w chmurach „piorun, co Bóg go posyła, by walił bory o sprochniałe korze”. Był pod tym względem podobny do Hamsuna i Reymonta, lecz także do Orka-

na — kiedy tę typowo romantyczną koncepcję oblekał w barwne szaty najpiękniejszych ludowych gwar. Nic nie roniąc z powabu tym gwarom przyrodzonego, uprzyśtępiał je oświeconej inteligencji, podnosząc po norwidowsku *ludowe do narodowego*, a tym samym *nadnarodowego*. To dlatego Żeromski tak pokochał twórcę *Beldonka* w swej rapperswilskiej pustelni, że mu całe Nadnidzie w piękno mowy ojczystej istnym cudem wcielił.

Polska chłopów Dygasińskiego była rodem z romantycznych snów, lecz jej obraz ewokował pisarz na sposób pozytywistów, gdyż zanadto już przywykł do empirii i autopsji. Z przyrodniczych dyscyplin naukowych wylonił się determinizm, a w ślad za nim i pesymizm Dygasińskiego. Na długo przed Marxem i Freudem autor *Asa* traktował życie jako kondominium dwóch potęg: głodu i miłości. „Ktoś jest zawsze głodny czegoś, aby... istniał”, — mówi w powieści o *Wilku, psach i ludziach*. Można by ten aforyzm uzupełnić interpretowanym „klasowo”, materialistycznie prawem „starodawnych dziejów”, głoszonym przez Hamleta: „Ktoś nie śpi, żeby spać mógł ktoś”. Utorowane łożyska myślenia pozytywistycznego wylały się jednak w Dygasińskim niejednokrotnie. Programowym słowem dziecięcia z *Godów życia*, który przemawia niezem sam Świętochowski, sceptyczny buchalter polskiej samowiedzy narodowej — przeciwstawia romantyczną apoteozę wolności. Zresztą — w Polsce wszyscy pisarze-pozytywiści (prócz „Nieprzekupnego”: Aleksandra Świętochowskiego) byli po trosze dezertkami: z zacieśnionego współczesnością i powszedniością kręgu problematyki literackiej Sienkiewicz uciekał ku przekolorowanym pejzażom historycznym, Prus — pod krzyżące wielkim głosem piramidy, Dygasiński zaś — na łono przyrody, która stanowała najbliższe a zarazem najgłębszą tajemniczością technący wywierzytko egzotyizmu.

W swą Wielką Podróż wybrał się z całym warszatem pozytywisty, z wszechstronnym przygotowaniem fachowym botanika, zoologa i folklorysty. Naturę uwielbiał nie tylko jako przybytek poezji, lecz przede wszystkim jako skarbiec wiedzy. Toteż błąd popelniają ci, którzy za Sygietyńskim i Wasilewskim zestawiają Dygasińskiego z Kiplingiem. Kipling był poetą i tylko poetą; jego zwierzęta uosabiają czystą ideę gatunku, są jak naiwne bóstwa staroindyjskie pokazane w zwierciadle pojęć, cechujących cywilizację zachodnio-europejską. Natomiast zwierzęta Dygasińskiego stanowią rewelacje indywidualności odrębnych i wyjątkowych; każda z nich jest przenośnią, lecz równocześnie odpowiada najsurowszym kryteriom ustalonej metodyki badań. Dygasiński wnikał w tajniki łąk, pól i lasów tak, jak poeta i naukowiec, prof. Siedlecki, w tajniki

głębin morskich. Kipling widzi przyrodę oczyma mitologa, maluje świat znany dzieciom i filozofom z codziennego obcowania; Dygasińskim rządzi obiektywizm badacza, któremu życie zwierząt dostarcza praktycznych spostrzeżeń z zakresu psychologii i socjologii — nie tylko zwierzęcej. Wrodzona zdolność do na wskroś poetyckiej antropomorfizacji pozwala przy tym w jego zwierzęcych bohaterach dostrzegać typy i charaktery ludzkie. Niemal naukowymi założeniami swych wizji przyrodniczych Dygasiński dowiódł, że literatura może być prekursorką nauki, tworząc np. konstrukcje, sankcjonowane potem przez psychologię pragmatyczną. Bardzo bliski Dygasińskiemu jest pod tym względem Fiedler: jego oswojony lemur jest skończoną „osobowością”, egzemplarzem w swoim rodzaju jedynym. Postawa Dygasińskiego i postawa Kiplinga znalazły swoistą syntezę w *Księdze z San Michele* Axela Munthe.

Znawca obyczajów ptasich, psich i zajęczych oraz wielbiciel dziwno botaniki, Dygasiński był jednocześnie mistrzem wielkiej metafory, w której umiał pomieścić nawet koncepcje metafizyczne. Taką właśnie wielką metaforę stanowi najgłośniejsze dzieło Dygasińskiego: *Gody życia*. W wielowarstwowej strukturze tego poematu przejawia się wpływ symbolizmu, przeszczonego na grunt rodziny przez Młodą Polskę — w połączeniu ze skłonnością do konspiracji duchowej, odziedziczoną po romantykach. Takimi samymi alegoriami jak Dygasiński operuje Maeterlinck, który zresztą w swych opisach życia pszczół i termitów nie wyrzeka się aspiracji badawczych, tak wyraźnych zwłaszcza w nieudanym *Życiu przetrzeni*. Część dla wiedzy i naukowości pogłębiała jeszcze w Dygasińskim pesymizm poglądu na świat: przeważało w nim poczucie wszechobecnej małości i nędzy. Lecz i w tej małości i nędzy ujrzał Dygasiński sens i celowość: zbudował z nich cokol dla jasnych, wysokopiennych marzeń o przyszłości. Odkrycie w świecie zwierzęcym żywiołowej radości istnienia, podminowanej okrucieństwem, i wsparcie o przemoc harmonii bytów nie zgasiło promyka tego optymizmu. Idąc ścieżką tropami Dygasińskiego, Mieczysław Lisiewicz w ogłoszonych fragmentach swych *Kronik naroczańskich* przeświecła naturę dostojnością etycznym prawie ludzkiego heroizmu i ofiarności, draży ją świadomymi ujęciami humanistycznymi — uczłowicza ją jakby, zachęcony przykładem twórcy *Godów życia*. To ostatnie arcydzieło Dygasińskiego za scenierią ma wszechświat, a ponieważ — jak określił jeden z krytyków — pisane jest czystą „mową lechickiego ducha”, ukazuje poprzez swą głębię odwieczną „dno ojczyste”, na którym Norwid oparł zasadę wszelkiej twórczości.

ZBIGNIEW POLANOWSKI

JAN EMIL SKIWSKI

NIERZECZYWISTE A JEDNAK WAŻNE

Właśnie te dwa określenia z równą słusnością należą się rozważaniom K. L. Konińskiego pt. *Ch. O. S.*, zawartym w n-rach 3 i 4 *Marchola* z r. 1938. Zestawienie pojęć: nierzeczywistości i ważności, nie jest w tym artykule w najmniejszym stopniu polowaniem na paradoks. Jest to prosto stwierdzenie dwóch równorzędnych cech pewnego wysiłku ducha, który zajmuje analogicznie do pozycje odrębnej, może nawet bez analogii.

Zacznijmy od sprawy pierwszej, od nierzeczywistości. Nie będę wdawał się w zbyt obszerne streszczenie myśli Konińskiego dlatego chociażby, że w n-rze 4 (271) *Pionu* sprawa ta była już poruszana i rzecz dla czytelników pisma nie jest nowa. Zatem tylko pokrótce powiem na ten temat, po prostu jako konieczny punkt zaczepienia dla własnych wywodów. Konińskiemu, najkrócej sprawę ujmując, chodzi o to żeby pod skrzydłami Kościoła katolickiego skupić całą duchową rodzinę ludzi, w której — obok katolików i wierzących zgodnie z dogmatem Kościoła — znaleźliby się i ci wszyscy, którzy tej dogmatycznej wiary nie mają, ale którzy przyznają się do cywilizacji chrześcijańskiej, uznają etykę chrześcijańską, postępują w życiu zgodnie z zasadami tej etyki, albo nawet i wierzą, ale po swojemu.

Możliwość takiej widzi i widzi przed wszystkim w tym, że wielu ludzi jej pragnie. Wzmacnia zaś wiarę autora w jej realność to, że nawet wiara ortodoksyjnych katolików nie jest czymś absolutnie stałym, że — jak Koniński powiada — sam Ojciec Święty inaczej wierzył dziś, a inaczej być może będzie wierzył jutro. Czy więc, wobec tego że mamy tu do czynienia z materią niezmiernie subtelną, której pojęciowo wymierzyć nie można i której praktycznie pewnym niż pojęciem wyrazem są raczej uczucia, utrwalone reakcje praktyczne, postawy — nie byłoby rzeczą słuszną (a jakże społecznie płodną!) skupić wszystkich ludzi nie jako poza dogmatem, to znaczy nie przekreślając dogmatu, ale, że tak się wyrażymy, nie pytając o dogmat?

Jak wiadomo, sytuacja spotkała się ze strony katolickiej z reakcją, z którą spotkać się musiała. Odpowiedziano, że katolicyzm ani z dogmatu nie ustąpić nie może, ani nie może dogmatu ustąpić w hierarchii zagadnień na dalszym planie, — wobec czego sama idea unii jako oparta na założeniu nie do przyjęcia — upada. Sądzę, że stanowisko to jest praktycznie słuszne, to znaczy że umia o jakiejś unii Koniński nie ma realnych szans powodzenia. Uważałbym jednak za niezmiernie suche, biurokratycznie suche rozstrzygnięcie sprawy refleksem zdrowego rozsądku, który po prostu powiedział owszem wielkości, stwierdził ich sprzeczność, wewnętrzną rozbieżność — i odeszł spokojnie, uważając że „swoje zrobił”. Byłoby w takiej postawie coś, po prostu niewspółmiernego z tym wysiłkiem i z tą namietnością pragnień, które były motorem wewnętrznym płomiennych i tragicznych artykułów Konińskiego. Ale jeśli zwyczajna odpowiedź „nie” wydaje nam się czymś suchym i małostkowym — to na cóż innego zdobyć się może człowiek, który jednak temu „nie” przyznaje rację? Sądzę, że zdobyć się może na jedno: na podążenie śladem myśli autora i pokazanie, w którym miejscu i z jakich przyczyn rozszczepiają się drogi między jego marzeniami a ich realizacją w warunkach, wśród których żyjemy.

Koniński opiera się na rozróżnieniu dwóch rodzajów teologii: dedukcyjnej i indukcyjnej. Dedukcyjnej — tzn. przemawiającej argumentami, mającymi (przynajmniej w założeniu) trafić do każdego umysłu, argumentami, które niezależnie od istnienia lub nieistnienia skłonności człowieka do przyjęcia religijnych, siłą swej dowodowości logicznej kierują go na drogę wiary. I drugiej, indukcyjnej — polegającej na tym, że człowiek we własnych przeżyciach i doświadczeniach religijnych szuka podstaw wiary. Nie wierzę — nawiasem mówiąc — w możliwość takiej dedukcyjnej teologii, która co najwyżej — i to wątpliwe — zdołałaby z jakim takim obiektywizmem bronić bez deistycznego irracjonalnego, chcąco udowodnić prawdziwość katolicko-chrześcijańskiego dogmatu. Ale w takim razie rozwarłoby się między oba metodami zmniejsza się niesłychanie.

Choć pierwsza metoda, dedukcyjna, nie jest absolutnie „czysta”, to jednak ma duże pozory pewności i wobec umysłów mało krytycznych, a więc wobec większości, przy pewnym wykładającej dyalektycznym osobym wykładającej prawdziwość, może — z gruba biorąc — odgrywać praktyczną rolę jakiejś teologii absolutnej,

nieomyślnej, zdolnej każdego i w każdej chwili przekonać o słusności prawd katolickich. Inna jest teologia indukcyjna: daje ona maksimum pewności dla jednostki, która ma w swoim zapasie wspomnień rozstrzygające przeżycia religijne, ale jest, na wzór leibnizowskiej monady, czymś zamkniętym, czynnikiem „bez okien”, czynnikiem nie dającym się udzielić innym ludziom.

Jest zrozumiałe, że Kościół katolicki jako instytucja, stawiająca sobie za cel *krzewienie prawdy wiary*, nie zrówna nigdy tych dwóch metod i na pewno nie zrezygnuje z operowania przede wszystkim tym systemem nauczania, który ma największą moc oddziaływania na szerokie rzesze ludzkie. Głównie i oficjalnie uznawanej różnorodności doświadczenia i poznania religijnego wewnętrznego z zewnętrznym byłoby wytrąceniem sobie z ręki bardzo poważnej broni. Nie wynika z tego, by Kościół miał się wyzierać z wszystkich pobawów teologii indukcyjnej. Owszem, docenia je i szeroko ją z nich korzysta. Przeciwnie cała mistyka chrześcijańska oparta jest właśnie na indukcji, na doświadczeniu, na przeżyciu religijnym. I nikt nie zaprzeczy że te argumenty, które można zaczerpnąć z przeżyć mistycznych świętych i błogosławionych Kościoła, są nie tylko, co się rozumie, uznawane, ale stanowią również żywe źródło apologetyki. Konińskiemu chodzi jednak o coś więcej. On by chciał, aby Kościół zajął się indukcjonistami w sposób właściwy, bardziej bezpośredni; więcej: aby właśnie momenty doświadczenia religijnego uznał za decydujące, wiążące i rozstrzygające o prawdziwości człowieka do owej religijnej rodziny religijnej, której miałby patronować.

Wydaje mi się że Kościół tego stanowiska nie zajmie nigdy. Wskąd tego zresztą ze względu na przewagę dedukcyjnych metod teologicznych, które przez takie zrównanie z indukcją byłyby osłabione. Powody są głębsze i ważniejsze. Pierwszym z nich jest

ten, że — jak to jest uwidocznione w samym tytule słynnego dzieła Jamesa — istnieje *wielkość* doświadczenia religijnego. Można mieć wewnętrzne przekonanie, a nawet niezachwianą wiarę zarówno w bóstwo Chrystusa, jak w autentyczność proroczej misji Mahometa. I żadna logika nie zdoła wymyślić takich ram, które by ludzi zamknęły jedynie w obrębie *chrześcijańskiego* doświadczenia religijnego.

Koniński operuje pojęciem miłości bliźniego, jako kategorią rozstrzygającą i odcinającą ludzi świata chrześcijańskiego (w owym szerokim pojmowaniu słowa) od ludzi świata antychrześcijańskiego (do których zalicza komunistów i hitlerowców. Otóż trzeba bliźniactwo, jak sądzę, o tym że pojęcie miłości bliźniego (w rozumieniu chrześcijańskim) mogłoby się poważnie zachwiać z chwilą ogłoszenia jakiegóż bardzo szerokiej tolerancji w zakresie ujawniania swych przeżyć religijnych i opierania na nich wiary i etyki. Pojęcie miłości chrześcijańskiej jest w istocie pozycją psychologiczną o różnorodności dość trudnej do utrzymania — trudnej zwłaszcza gdy człowiek nie jest obwarowany nakazem dogmatycznym i gdy posuwa się swobodnie po drogach własnego doświadczenia.

Koniński dostrzega tylko jedno odchylenie od chrześcijaństwa na stronę natury — to odchylenie, które spostrzeżę w ideologii hitlerowskiej z jej ubóstwieniem siły i mistyka potęg. Ale wpływ jest nie tylko można również z innej strony: drogą *poszerzenia* właśnie miłości, rozciągnięcia jej na *całą naturę*. Taki wybieg jest nie tylko możliwy, ale nawet jest coś niepojętego w tym, jak ludzie o chrześcijańskim typie religijności umiają zatrzymać się na *linii człowieka* i właśnie w tym miejscu powieścić miłości: stop! „Psychika otwarta” — pięknie. Ale dlaczego tylko do granic ludzkości? Dalej nie łaska? Jest coś szutnego w tej potędze miłości, którą, z jednej strony, uwa-

ża się za największą potęgę duszy ludzkiej, z drugiej zaś strony — nie ma się zupełnie wycucia dla cierpienia rozsianego w przyrodzie, które w ogóle nie wchodzi w zakres doświadczenia chrześcijańskiego, jeśli pominać pewne, że tak się wyrażę, nieobowiązuje wyjątki personalne (jak np. św. Franciszek z Asyżu). Kurs indukcji łatwo przerwałby te granice, tym łatwiej że to przerwanie nie byłoby zaprzeczeniem zasady miłości, ale jej poszerzeniem.

Zatem przyjmując i dając prymat założeniom uczuciowo-etycznym nad intelektualnymi, Kościół zawsze by ryzykował że rozpełta prądy sprzyjające wychyleniu od człowieka ku naturze, albo w kierunku ubóstwienia jej jako siły, albo w kierunku takiego poszerzenia miłości i miłosierdzia, które daleko wykracza poza chrześcijański antropocentryzm. Wychylenie możliwe jest nie tylko w kierunku Hitlera, ale też w kierunku... Ghandiego. Dogmat i tylko dogmat, narzucający w sposób bezwzględny, z całym aparatem i naciskiem autorytetu i sugestii logicznych, może tym wychyleniom zapobiec i utrzymać społeczeństwo wierzących w należytym *formie*.

I jedno jeszcze sprzeciwia się tej uniijnej możliwości. To gotowość podsywania się pod to „szerokie” chrześcijaństwo literalnie wszystkich wrogów Kościoła, zarówno z lewa jak z prawa. Można sobie wyobrazić, kto by nie stanął do apelu i kogo by zabrakło w szeregach zwołanej gromady szerzej zorganizacji kościelnej gotowej byłoby otwierać się dla każdego, kto powołuje się na wewnętrzną sympatię ze światem etyki chrześcijańskiej! Żaden wysiłek organizacyjny nie podałby wówczas natłokowi tych sił, którym nie tyle zależałoby na miłości bliźniego, ile na tym, aby tę organizację dla własnych celów opanować.

JAN EMIL SKIWSKI

STANISŁAW PIĘTAK

OPOWIEŚĆ Z DALEKIEGO ŚWIATA

FRAGMENT OSTATNI*

Pierwsza noc minęła spokojnie, ale drugą witałem już od początku drżącymi wargami, zgięciem rąk, bolesnym wyczekiwaniem...

Ach! ani upadając twarzą do nóg Ewy, nie mogłem upadnąć od siebie ogromnego niepokojem. Zapadłem w śpienie.

Otworzyła się rozległa stepowa kraina przede mną, szlakami zdeptanymi i rowem ciągnęły tabuny krów, bawołów, w górze w żółtawym pyłe krążyły trzy olbrzymie sępy — horyzont dymiący i czerwony oddalał się wijąc i nie pozwolił przybliżyć się ku bydlu gromadce ludzi, zatrzymanej przy łysym pagórku przez huczące leje wiatru.

Ujrzałem: szedłem sam za tabunem bydła boso, prawie nagi, z rozwichrzonym czarnym włosem i wolalem, osaczony gwiazdami i niebem, ku widnokregom — przeraźliwie, z jękiem.

— No teraz pora, teraz pora na działanie — usłyszałem nagle biegiący głos z boku. Wskoczyłem więc i biegiem dopadłem najwyższego bawołu, runąłem mu na kark nogami.

— Ha-ho! ha-ho! — krzyknąłem i batem śmignąłem bydlę przez ślepią z całej siły.

W jednej chwili rozpoczął się szalony pościg. Pędziliśmy, rozwalając po drodze zagony pięt, kwiatów, kopisaka owadów.

W przelocie chwyciłem najmłodsze gwiazdy na niebie i z okrzykiem rzuciłem w tył. Ciemniało z sekund na sekundy, niekiedy tylko odslaniały się czerwone dna chmur, a wtedy widziałem, że tabuny bydła i koni cwałują za mną wciąż z gwiazdami światła i ptakami na głowach...

Gromadkę ludzi, wijącą się w placzu, przy wzgórzach, minąłem bez żalu. — Myślę, że powiesz mi, nie hej! — myślałem i wychylałem się drapieźnie ramionami do przodu.

Kilka razy zdołałem chwycić końce białego obłoku i rozerwać go na strzępy. Na moment otwierała się wtedy przede mną świetlista dolina — ptaki złote przelatywały tam i czepiając się promieni przesyłały cicho. Nie było widać w żadnym zalomie białego kraju człowieka, ale śpiew dźwięczny, lagodny dochodził z głębi jak najzwyklejsza muzyka fletu...

Minąłem jedno odkryte rzekeciem, wreszcie potęknę drugie, przepłynąłem rzekeciem, wreszcie

* Por. n-ry 4 i 7 *Pionu* z r. b.

gdy księżyc zbrudzony, żółty zestrzeliłem w morze w szalonym biegu z łuku i wydałem z piersi straszliwy okrzyk triumfu — stało się, wypełniło: rogami dopadł bawół — płoki nieba i rozdarł ją od jednego zamachu jak strzęp płótna...

Zadręgał niepojęta światłość... Dźwięk trąb, szeptał fal wodnych, lecz czemu nagle taka przeraźliwa, bolesna cisza...?

Obudził mnie chłodny poddmuch wiatru. — Panie, struchlałem! — Zaprawdę, szeptałem tak bardzo nie pragnę jak wieczności... Od dziecka chodziłem za Tobą, radując się przyszlusowanym światem, obecnością wiecznej, niewysłowionej światłości Twojej...

Chciałem upaść na kolana, modlić się pełen twógi w skupieniu, lecz naraż ktoś ujął mnie za rękę i wyprowadził na drogę prowadzącą do olbrzymiego huczącego lasu. — Zatrzymajmy się tu! — usłyszałem nad sobą donośny, dźwięczny głos.

Okryła mnie ciemność znowu, nie widziałem nic naokoło, czułem tylko obecność cieni, nachylających się raz po raz ze słowami ku mnie.

„A gdy ostatnia wybije godzina, pożegnaj, matko, swego zbłąkanego syna...”

— śpiewał ktoś daleko... — Jakież było twoje życie? — jakiż los? — zawołał pierwszy cień. — Gnuśność, służenie zmysłom...

— Nie! — odpowiedziałem... Kochałem różne kobiety, plugawilem ciało i duszę, ale przecież zawsze we mnie tkwiła żądza wieczności — byłem tym samym małym chłopcem wlokącym się od ołtarzy do ołtarzy — żyjącym jedynie modlitwą i snami...

Daremnie usprawiedliwiałem się szepcząc, daremnie unosiłem w zakłęcia ręce, koło mnie w ciemności wybuchło złośliwe syczenie, biepnął.

„Nie skazujcie go na wieczną ciemność, miejcie litość nade mną...”

Jęk ten (byłby to jęk Marii?) wybuchł światłem u góry — ten jęk chyba mnie ocalił.

— A więc nie pora jeszcze wydawać wyrok! — krzyknął pierwszy cień i owinął mnie przestwór — odtąd nie oddał się ode mnie ani na chwilę...

Zatrzymaliśmy się niedaleko mojego domu, u brzegu wzburzonego jeziora — lał deszcz, co sekunda widać błyskawic przelatywały przed moim okiem i białe ptaki wzbuchwały w odgłosie gromu na czarnej fali.

Nie widziałem wieży klasztornej ani zakrętu drogi nad rzeką, przy której zawsze przystawałem po zachodzie, ale mimo to do brzo mi było i podniosłem.

— Twój to świat, lecz już doskonały od dzisiaj — usłyszałem szeptał przy sobie, wtedy podniosłem głowę i ujrzałem siebie — siedemnastoletniego chłopca, jak na tym samym miejscu w strugach deszczu stoi i ręce wyciągając na tle lun nieba w górę, mówi w szpatmatycznym szlochu swój pierwszy wiersz...

„Niebo, niebo — Ach! wiatr. Strumienie błyskawic, Świat... O losie!...”

— Tak — poczęłem szeptać smutnie — zadręgałem siebie, błąkałem się zbyt długo, jak radziłem mi się odwracać twarzą ludzom, gdzie kto chciał, kłamałem... Teraz już tego nie będzie!

— Nie drzyj — zwróciłem się naraż do nieznanego mi człowieka, który stał wciąż obok mnie, zakrywając twarz... — wiem na jaki skazany jestem los, wypełnię go już bez trwoży...

— Tak — lot ptaków śledzić będę na zachodzie, opowie dzieje kwiatu wyrastającego na dnie rzek,

wspomogę słowem oracza, co w czas je-sienny będzie szedł za koniem zamysłony, pełen troski —

stworzę na podobieństwo Boże wielki świat — tak, wielki — wielki!

Belkocząc przysięgi i zaklęcia, zbudziłem się snującem.

— Snującem to, czy przeżywał rzeczywistość — pomyślałem, cisnąc dłoń struchlałe do oczu. Długo nie mogłem się uspokoić. Wśród paroksyzmów wzruszenia, skupiony, błady ubrałem się i wyszedłem na pole. Deszcz przestał już padać, nad wierzbinami sine chmurki jak gęsi unosiły w dolinie nieba, księżyc podnosił się, próbował odejść na zachód... Stałem, drząc, przyciskałem ręce do piersi, naraż upadłem, z pokorą ucałowałem ziemię.

STANISŁAW PIĘTAK

BOŻENA STELMACHOWSKA

GDYNIA CHCE MIEĆ HISTORIĘ

W prasie poznańskiej pojawił się niedawno artykuł A. Brosiga, kustosza Muzeum Wielkopolskiego, omawiający gdyńskie zagadnienia muzealne, zarówno w stosunku do istniejącego od kilku lat Muzeum Miejskiego w Gdyni, jak i wobec konieczności stworzenia tam nowej, poważnej placówki kulturalnej. Godząc się najzupełniej z programem p. Brosiga i podzielając zdanie o nieużyteczności gdyńskiego Muzeum Miejskiego, pragnę wyrazić własny pogląd na rolę etnografii w Gdyni.

W nowym muzeum, które niewątpliwie powstanie w najbliższym czasie, rola etnografii powinna być, wśród innych działów, dominująca. Obecne Muzeum Miejskie w Gdyni nie odpowiada idei przedstawiania kultury lokalnej w świetle dodatnim i połączającym. I to nie tylko dlatego, że szczupłość miejsca stoi na przeszkodzie, lecz przede wszystkim dlatego, że typ jaki reprezentuje jest już dziś *demodé*. Cały ten kramik krajoznawczy może być ostatecznie tolerowany w naszych małych miasteczkach w głębi kraju, gdzie utrzymuje się zbiory regionalne dosłownie za grosze, ale nie może być uznany za właściwy — w Gdyni. Tu przecież rzesze turystów z całej Polski i zza granicy szukają pewnego poziomu kultury, dostosowanego do skali innych urządzeń gdyńskich: portu, gmachów handlowych, reprezentacyjnych dzielnic miasta itp., świadczących o wielkiej trosce czynników decydujących.

Ku Gdyni i jej urządzeniom zwrócone są oczy najbliższej terytorialnie położonej Oliwy — z jej pięknym muzeum prowincjonalnym w gmachu dawnego opactwa cysterskiego, Gdańska — z jego wspaniałymi zabytkami, dalej, za granicami kraju — Szczecina, Królewa, Elbląga i całego szeregu miast mniejszych, posiadających bogate zbiory etnograficzne. Muzeum Miejskie w Gdyni można by uważać za tymczasowy magazyn, i to nie tylko pod względem kubatury lokali, ale przede wszystkim ze stanowiska naukowego. Prehistoria powinna tworzyć osobny dział, odpowiednio bogaty, rozszerzony i objaśniony. Nie można np. posługiwać się określeniami w rodzaju: „młodsze żelazo”, „starsze żelazo”. To nie żelazo jest młodsze lub starsze, lecz dany okres epoki żelaza może być młodszy lub starszy. Dalej np. wywodenie kultury kaszubskiej wprost z łżyckiej, jak to czyni obecna kustoszka muzeum, wykazuje poważną lukę. Czym zapłacić tę olbrzymią przestrzeń czasu? Jeżeli się tak śmiało hipotezy wypisuje na gablocie jako pewnik dla zwiedzających (czytałam 15 sierpnia 1938 r.) trzeba je uzasadnić naukowo. W dziale etnografii objaśnienia są również nieścisłe. Zawsze jeszcze pod pękiem oprawnych w drewnianą rączkę piór figuruje napis „dmuchacz”, mimo że już dwa lata temu w piśmie *Slavia Occidentalis* uzasadniałam całą niewłaściwość takiego określenia. Nie koniec na tym. Cały szereg wystawionych zabytków nie może się zaliczać do kultury kaszubskiej, ludowej: np. niektóre obrazy na szkle są wręcz obcego pochodzenia.

Niewątpliwie obok zabytków wartościowych, szczególnie tych które przekazane zostały ze zbioru dra Majkowskiego, jest dużo rzeczy drugorzędnych, nietypowych, obojętnych. Są to okazy wkraczające już w kulturę mieszczańską swoim zasięgiem w danej epoce, tj. pod koniec ub. stulecia. Np. drukowane wzory na makatkach płóciennych: to już produkcja nieludowa — nie stwierdzono dotąd w ludowej sztuce kaszubskiej tendencji do wzorowania się na szalach tureckich i przenoszenia stąd motywów na swoje wytwory. Fakt takiego znaleziska w chacie nie świadczy jeszcze o tym, że musi to być wytwór ludowy miejscowego pochodzenia. Etnograf powołany jest do tego, by rozróżnić rzeczy ludowe i typowe od nieludowych i nietypowych, mimo że nawet przygodnie znalezionych w chacie. Muzeum Gdyńskie mieści obecnie dużo niewłaściwej ceramiki. I tu znów trzeba stwierdzić, że obok kilku niewątpliwie cennych okazów starszej ceramiki jest spora ilość nowoczesnej tandety. I nie tu nie pomoże cały szereg dzbanów, ustawionych na półce pod samym sufitem: nie tworzą one szeregu typologicznego. Są po prostu podobne do siebie i szkoda było nabywać ich aż tyle, żeby wszystkie wystawić!

Trudno rozwozić się nad wszystkimi niedoborami muzeologicznymi zbiorów gdyńskich, przedwcześnie udostępnionych publiczności. Fakty te wywołały polemikę prasową i wywoływać ją będą nadal, dopóki ręka uzdolnionego i znającego teren kierownika-muzeologa nie uporządkuje zbiorów,

które aczkolwiek nieduże i w niedużym rozmieszczone lokalnie, mogłyby mimo wszystko być placówką kulturalną stanowiącą załączek przyszedłego muzeum etnograficznego Gdyni. Powstanie wzorowego, odpowiadającego nowoczesnym wymaganiom muzeum etnograficznego w Gdyni nie wyklucza oczywiście możliwości czy nawet konieczności stworzenia zbiorów kaszubskich w Wejherowie, Pucku i Kartuzach, czy w Kościerzynie. Zbiory gdyńskiego muzeum etnograficznego musiałyby być zestawione nader precyzyjnie i przejrzyście, z silnym podkreśleniem momentów estetycznych — zarówno w doborze eksponatów jak i w ich układzie. W żadnym wypadku nie może to być muzeum krajoznawczo-regionalne, co dla miasta o takim rozwoju i przyszłości jak Gdynia zupełnie nie jest wskazane.

Z dzialem etnografii nie łączy się już dziś prehistorii. Należy ona raczej, jako podbudowa, do działu historycznego i tam musiałaby się znaleźć w przyszłym muzeum gdyńskim. Powinna ona dać obraz syntetyczny życia ludności miejscowej w czasach przedhistorycznych, podobnie jak etnografia — w okresach późniejszych, w zamkniętym zasięgu ludowym. Oba te specjalne i rozróżnione działy: prehistorii i etnografii, o ile weszłyby w skład wielkiego Muzeum Gdyńskiego, musiałyby oczywiście znaleźć właściwą oprawę historyczną.

Każdy, kto przyjeżdża do Gdyni po raz pierwszy i zwiedza port i wszelkie urządzenia morskie, ogląda się siłą faktu za czymś godnym zwiedzenia w samej Gdyni, w mieście. Wszelkich szczegółów o porcie, jego rozwoju i planach dalszych dowiaduje się od przewodników na motorówkach i holownikach obwozujących gości. O Gdyni-mieście nie mówi mu nikt! Spogląda więc bezmyślnie na nie zabudowane ulice, na małe domki obok 7-miopiętrowych gmachów; rzadko kiedy potrafi sam zrekonstruować sobie przeszłość i zrozumieć choć w przybliżeniu zdumiewającą rzeczywistość na którą patrzy. Szuka tej przeszłości, jej łań-

cucha ewolucyjnego — w mieście, i nie znajduje go. A przecież historię Gdyni można by przedstawić łatwo, łącząc ją z etnografią i prehistorią — poprzez historię właściwą — czyli ściślej: poprzez dawne archiwalia, dokumenty, akty, wreszcie pogładowe grafikony.

I nowa Gdynia! Nie mówię już o budowie portu, bo to temat osobny, lecz o samym mieście, które wchłonęło otaczające je wioski i osiedla, od morza aż do opasującego Gdynię łańcucha wzgórz i poza tymi wzgórzami. Wdzięcznym zadaniem dla muzeologa gdyńskiego byłoby przedstawić te wioski, osiedla i gminy w ich dawnym wyglądzie i porównać go z obecnym, tj. ulice miasta, domy, gmachy publiczne itp., cały nowoczesny plan urbanistyczny. Jakże ciekawe byłoby zestawienie tych jaskrawych faktów zaniku ubogich wiościzyn kaszubskich i rozwoju kwitnącej bujnym życiem nowoczesnym Gdyni! Dla zobrazowania tego doskonale nadają się mapy świetlne. Wyobrażam sobie, że taki świetlny plan miasta Gdyni mógłby być niezwykle instryktywny i wszystkim poszukującym śladów rozwoju miasta dać by mógł pełny obraz rozmachu i tężyzny, która w obliczu dzisiejszej Gdyni napelnia słuszną dumą serce każdego Polaka. Poszukiwania starych sztychów i obrazów odnoszących się do Gdyni byłyby zapewne bezowocne, natomiast fotografie można by z całą pewnością znaleźć w prywatnych rękach. Statystyki ludnościowe byłyby nie mniej ważne, tak jak i sposób zawodowego zasiedlenia miasta, a więc pogląd na kolejne narastanie zawodowe — od ludności rolniczo-rybackiej, poprzez robotniczą warstwę pierwszych zwłaszcza lat budowy, ludność drobno-mieszczańską i drobnokupiecką, do innych warstw kupiectwa morskiego, administracji państwowej i urzędów; od małych zawiązków organizacji kupieckich do przeróżnych współczesnych monopoli handlu dalekomsorskiego. Wreszcie — powstawanie instytucji kulturalnych, szkół, powolne lecz stale narastanie warstw inteligentnych, itp.

ROZMOWY Z PIŁSUDSKIM

Czyni herosów pozostają nie wyjaśnione, niezrozumiałe, ponieważ nikt ich nie zdola opowiedzieć. Biografie, choćby najlepsze, drgające życiem i prawdą, próbują jednak zawsze zmieścić olbrzymia w dziecinnej kołysce. Tylko mit, legenda, która plaszczy swej fantastyczności i romantyczności spowija życie bohaterów, umie sprostać ich wielkości, przekładając ją na język nadmysłowy. Józef Piłsudski odszedł od nas na zawsze. Pozostały tylko jego wskazania i ideały, pozostało jego życie i legenda. Legenda, którą jedni usiłują zamarmurzyć na pomnikowym cokole, inni znowu starają się ją zabarwić na kolor własnych koncepcji i poglądów politycznych, aby móc tym łatwiej dopatrzeć się w nim jakiegoś nowego Romana Dmowskiego, czy polskiego Lenina. Tak wielbiąc, mogą go stratać jak trawiali się ludzie w ową historyczną noc przed katedrą, cisząc się do katafalku. Lecz o ile łatwiej i prościej w kulcie tym, w jakim żyją tysiące ludzi, dostrzec tylko i jedynie — Józefa Piłsudskiego. *Strzępy mel-dunków* gen. Sławoja Składkowskiego i ostatnio wydane *Rozmowy z Piłsudskim* Władysława Baranowskiego (Biblioteka Polska, Warszawa, 1938. Str. 237) są właśnie tymi książkami, w których miarę życia Piłsudskiego znaleźć możemy — w nim samym. Prosta i bezpośredniość relacji uczyniły to życie konkretem świadomości zbiorowej, symbolizującą się z reguły abstraktami, legendami i mitami, a tu wręcz ucieleśnionej nawet nie w idei tego człowieka, ale po prostu w jego osobie.

W „rozmowach” tych, obejmujących tylko pewne fragmenty wydarzeń, niekiedy ważkich i decydujących w naszym życiu politycznym, postać Marszałka nabiera takiego kolorytu i takiej mocy, że nie możemy dziś jeszcze oprzeć się tej najbardziej wstrząsającej świadomości, iż odszedł ten, kto na zawrotnym korytarzu historii poruszał się tak pewnym krokiem, jakby urodził się ze znajomością jego planu. Bo jakże tu pozbyć się tej świadomości, kiedy w książce W. Baranowskiego stajemy oko w oko z historią, równającą nasz czas z wiekami legend i bohaterów. Wymawiając ten wyraz: historia, rozumiemy i czujemy, właśnie przez Józefa Piłsudskiego, w nim tyle treści, jakbyśmy dopiero teraz dorochli do tego, tak poufalego pojęcia. W rozmowach Baranowskiego z Piłsudskim uczestniczymy „na żywo”, jakby w narodzinach historii, tworzonej z szybkością i siłą błyskawicy i wichrów, jesteśmy świadkami powstania myśli, jej

rozwoju, aż do zwycięskiej chwili decyzji lub do momentu oddalenia jej na przyszłość i ponowne rozważania. Piłsudski wybierał zawsze decyzje trudniejsze, widząc w nich gwarancję pozytywnych rezultatów. W swej swobodzie działania, nie liczącej się z nikim i z niczym na zewnątrz, w swym tragicznym zmaganiu się między wolnością i władzą, — był arcy-polski. Jakkolwiek zżymał się, ilekroć mówił o aktywizmie służalstwa, aktywizmie nurtującym polskie społeczeństwo w okresie walk orientacyjnych, to jednak podsunięta mu myśl objęcia władzy dyktatorskiej uznał za sprzeczną z własnymi przekonaniami i poczuciem wolności. I dlatego tajemnicą Piłsudskiego był najgłębszy w swej treści psychologicznej, a dający się ująć w najprostszym wyraz fakt, że Piłsudski był człowiekiem wolnym, który sam plonie i innych rozpala. Wolność posiadał we własnym sumieniu, pojmował ją jako obowiązek, jako samo chcenie.

Rozmowy W. Baranowskiego z Marszałkiem obejmują olbrzymi wachlarz spraw i zagadnień. Główne tematy — to polityka zewnętrzna i armia. Armia, którą stworzył, była dla niego nietykalnym tabu, uważał, że należy ją jak najdalej odsunąć od różnych gier, posunięć i kombinacji politycznych. Rozumiał doskonale, że tylko wtedy spełni swoją właściwą rolę gwarantki wolności i zabezpieczy respekt dla interesów narodowych polskiej racji stanu. Toteż gdzie zachodził cień podejrzenia, że może odbyć się kompromis polityczny kosztem wojska, tam zakładał Piłsudski swoje veto; lekceważąc bezpośrednie, doraźne konsekwencje, znajdował daleką i dla ogółu na razie niewidoczną motywację swojej postawy. Podobnie polityka zagraniczna Piłsudskiego znaczyła się posunięciami, które wyglądały na upór wobec ustalającego się porządku politycznego w Europie. Plon tego twórczego działania, tej sztyfowej, nadludzkiej pracy w walce z samowolą, głupotą i zaślepieniem — zbieramy dopiero dzisiaj, gdy Polska przedstawia się jako potężna, mocna organizacja państwowa, jako siła pełna aury wobec świata międzynarodowego.

Książka W. Baranowskiego o rozmowach z Piłsudskim wprowadza nas w ten klimat rodzenia się, budowania nowego stylu rządzenia, nowego stylu wojska i nowego stylu jednoci państwowej. Plonie i jarzy się tą prawdziwą miłością, jaka cechowała wszystkich, którym dane było znaleźć się w orbicie wpływu Komendanta.

JAROMIR OCHĘDUSZKO

Wszystkie te niezwykle ciekawe socjologicznie przemiany miasta powinny znaleźć swój wyraz muzealny w pomysłowo konstruowanych wykresach.

Dział archiwalny Muzeum Gdyńskiego powinien uwzględnić, obok spraw jak najściślej z Gdynią związanych, wszystkie kwestie obchodzące każdego Polaka i tu właśnie nasuwające się jego pamięci. A więc, przede wszystkim, Gdańsk. By wykryć ślady odpowiednich dokumentów, należałoby m. in. przewertować w Berlinie akta zawarte w Königliches-Geheimes-Staats-Archiv w dziale „Polonica“ (np. „Polens Beziehungen zu Schweden“ z lat 1661/2, 1612, 1612/16). W dalszych studiach trzeba by opracować niektóre akta archiwum państwowego w Wiedniu (np. Staats- u. Hof-Archiv w dziale „Polonica“), dalej akta przechowywane w Dreźnie czyli Königliches-Sächsisches-Staats-Archiv, „Krieg zwischen dem Könige Polen u. Schweden, geheime Kanzelei“, loc. 93/15, wreszcie — archiwum włoskie Akademii Umiejętności w Krakowie czyli tzw. „Teki Rzymskie“, tudzież różne akta w Bibliothèque Nationale w Paryżu. Instrukcje, diariusze, uniwersały z czasów Zygmunta III znaleźć można w bibliotekach polskich.

To są źródła specjalne. Z ogólnych muzeolog-archiwista musiałby przejrzeć „Codex Diplomaticus Maioris Poloniae“, tom III (wyd. Zakrzewskiego, Poznań), „Codex Diplomaticus Poloniae Minoris“, t. I (wyd. Piekosińskiego), „Codex Epistolaris Saeculi Decimi Quinti“, tom II (wyd. Lewickiego), „Codex Epistolaris Vitoldi Magni Ducis Lithuaniae“ (wyd. Prochaski), oraz źródła specjalne sprawy krzyżackie dotyczące, jak „Lites ac res gestae inter Polonis Ordinemque Cruciferorum“ (wyd. Działyńskiego w Poznaniu). Nie chcąc mnożyć tu materiału, podaję tylko niektóre źródła najważniejsze. Sądzę że dobrze by było zapoznać się również z korespondencją nowoczesną, głównie w. XVII, jak np. „List ze strony wtargnięcia z Pomorskiej ziemie cesarskich ludzi regimentu Ernesta Krokowskiego do Korony Polskiej y przez nie do Śląska“, r. 1643. Do tej samej sprawy „respons“ Krokowskiego do wojewody poznańskiego. I jeszcze do tejże kwestii: „List agenta francuskiego do Pana Krakowskiego o Krokowskiego zamysłach za Cesarza przeciw Szwedom, gdy się do Pomorskiej ziemie brał z wojskiem“. Oczywiście, wymieniona tu korespondencja — to tylko nieznaczna wskazówka, że w związku ze sprawami pomorskimi i w historycznej przeszłości i w nawiązaniu do starych pomorskich rodów, do dziś dnia najbliższe otoczenie Gdyni zamieszkujących, znalazłyby się wcale ciekawe dokumenty, zasługujące może na to by spocząć w gablocie muzealnej. A potem jeszcze, z zakresu kaszubskich curiosów, taki np. rękopis godzien przestudiowania i uaoacznienia, jak opis podróży Andrzeja Reya z Nagłowic (wnuka Mikołaja) po Niemczech, Holandii, a stąd z powrotem do Gdańska. Znajdujemy tu najstarszą wzmiankę o Kaszubach, i to o tej ich części, która leży dziś poza granicami państwa (Laumburg).

Pozwolę sobie, nie mogąc tu wyczerpać tematu, wspomnieć jeszcze tylko ogólnikowo o dalszych wymaganiach działu historycznego Muzeum w Gdyni. Trzeba by zgromadzić stare mapy, zatokę gdańską i pucką przedstawiające. Mapy te pojawiają się niekiedy w obiegu handlowym, u antykwariuszy gdańskich, i łatwo je wykupić. Postarać by się należało np. o mapę z XVII-go w. „La Prusse“ d'Aberville'a, dalej — o mapę „Poloniae Lithuaniae“ W. Godreccia z poprawkami Andrzeja Pilźnieckiego; w obiegu są również mapy: „Regnum Borussiae“ Homana (w. XVIII), „Prussiae“ Henneberga i wiele innych (niektóre b. piękne kolorowane okazy miedziorytnicze). Kolekcja sztychów Gdańsk oraz Wisłoujście przedstawiających trzeba by uzupełnić mapy, a dalo by się zapewne zakupić i rysunki, np. Palubickiego z r. 1878, miedzioryt Ludwiga, przedstawiające stare statki żaglowe, strój gdański itp., akwarele Geldzińskiego z w. XVII — nie mówiąc już o znanych sztychach Chodowieckiego, które oczywiście w muzeum gdyńskim znaleźć się muszą, choćby ostatecznie w dobrych reprodukcjach. Powinno się także wyłożyć wśród zbiorów historycznych rysunki dawnych bander niepodległej Rzeczypospolitej.

Przygotowanie naukowe, wyszukanie i zbieranie materiału, posegregowanie go i dokonanie systematycznego układu czyli zmontowanie wzorowego muzeum w Gdyni wymagać będzie wielu lat mozolnej pracy i naukowego wysiłku. Praca ta jednak musi się zacząć już dziś.

BOŻENA STELMACHOWSKA

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

GŁOWY BEZ KORON

W czasach tak zmiennych jak nasze relacja dziennikarska, dotycząca gorącego *dzisiaj*, szybko traci rumieniec życia i schodzi do archiwalnych piwnic dnia minionego, przebrzmiałych nastrojów, niestrwałych nadziei i fałszywych często przewidywań. Aby mogła wytrzymać próbę konfrontacji zawartych w niej konkluzji z faktycznym przebiegiem wydarzeń, musi wylegitymować się tą głębią spojrzenia, które poprzez kontury opisywanego wydarzenia pozwala dostrzec zarysy pewnego problemu. Prasa codziennej od dawna już przestał wystarczać suchy katalog informacji, które już dnia następnego zostaną zasypane górą nowych wiadomości. Od czasu do czasu każdy dziennik, który wśród nawalu wiadomości i doraźnych komentarzy pragnie swym czytelnikom wskazać linie ewolucyjne życia politycznego czy gospodarczego, musi dawać przekroje ważniejszych problemów — czy to w formie artykułów obejmujących całość zagadnienia, czy też w formie reportaży albo wywiadów z osobistościami decydującymi. Ostatnia zwłaszcza forma relacji dziennikarskiej zyskała dziś sobie dużą popularność. Działając na czytelnika sposobami wypróbowanymi w beletrystyce, trafia do niego niejednokrotnie łatwiej niż najlepiej nawet napisany artykuł rzeczowy. Dając literackie „obrazki z życia”, obfitujące nieraz w ciekawe obserwacje, ukazuje załamanie się omawianego problemu w konkretnej rzeczywistości; posiada przy tym sankcję najwyższego autorytetu — bezpośrednio wypowiedź człowieka będącego autorem żywej, tworzącej się w naszych oczach historii. Reportaże polityczne wydaje się dzisiaj w oddzielnych publikacjach i chociaż po miesiącach czy nawet latach zmierzchnie już po trosze ich świeżość, zawsze budzą żywe zainteresowanie. Wydanie książkowe jest próbą ich wartości rzeczowej. Ale także — i to może przede wszystkim — egzaminem wartości literackiej. Odczytując je po jakimś czasie — w chwilach spokojnych, gdy minęło już gorączkowe zaciekanie, spowodowane palącą aktualnością poruszanych w nich spraw, — możemy nie tylko cofnąć się w niedawną przeszłość by spojrzeć na nią z pewnej perspektywy, ale także zwrócić uwagę na kształt artystyczny tych na gorąco notowanych szkiców, poddać je rozważeniu estetycznej jak każdy utwór literacki.

Wyszły właśnie z druku dwa tomy reportaży politycznych dwóch doskonałych dziennikarzy: Romana Fajansa i Konrada Wrzosa¹. Jakby umyślnie wydane równocześnie, uzupełniają się one wzajemnie, tworząc wspólnie dość wyczerpujący obraz dążeń i nastrojów politycznych dzisiejszej Europy. Oba tomy są zbiorami wywiadów dziennikarskich, przeprowadzonych z mężami stanu i wybitnymi działaczami czy myślicielami na przestrzeni ostatnich lat. Mamy tu rozmowy z Piłsudskim i marszałkiem Śmigłym-Rydzem, mamy sylwetki Mussoliniego i Venizelosa, Miguela de Unamuno i Masaryka, Salazara i Schuschniggga. Z tych paru rzuconych tu nazwisk możemy się zorientować, że nie pominięto żadnego wydarzenia czy problemu o znaczeniu ogólnoeuropejskim; Fajans wyprowadza nas nawet daleko poza Europę, dając naświetlenie konfliktu chińsko-japońskiego przez rozmowę z Cziang Kai Szkiem z jednej strony i generałem Araki — z drugiej. Biorąc chronologicznie, książka Fajansa jest świeższej daty: ostatni wywiad autora (z Cziang Kai Szkiem) został przeprowadzony w sierpniu ub. roku. Tom Wrzosa sięga trochę głębiej w przeszłość — do wypadków majowych i wyjazdu Piłsudskiego do Genewy. O ile *Sylwetki i rozmowy* malują wczorajszy dzień Europy, to Wrzosa daje obraz dnia poprzedzającego — lat które z perspektywy ostatnich burzliwych miesięcy wydają się równie spokojne jak odległe.

Pięć wielkich wydarzeń znaczy okres dopiero co minionych lat: wojna włosko-abisyńska, powstanie w Hiszpanii, anszlus austriacki, tragedia czecha i krwawa rozprawa na Dalekim Wschodzie. Wszystkie te akty dramatu dzisiejszego świata stanowią treść książki Romana Fajansa, wszystkie zostały oświetlone przez najbardziej ku temu powołane osobistości.

O włoskich problemach kolonialnych mówi Mussolini i generalny gubernator Libii, marsz Balbo. „Idea kolonialna — oto

słowa włoskiego dyktatora — jest jedną z tych idei, które tworzyły współczesny świat cywilizowany i jego historię. Tylko te narody są prawdziwie wielkie, których historia wykuwała się na kilku kontynentach”. Mussolini z goryczą akcentuje brak sprawiedliwości w podziale terenów kolonialnych oraz kwestionowane powszechnie zdolności kolonizacyjne Włochów. O konflikcie w Afryce wschodniej mówi na ogół spokojnie (rozmowa została przeprowadzona we wrześniu 1935 r., w przeddzień wybuchu wojny abisyńskiej), zresztą główną treścią wywiadu są osiągnięcia kolonizacyjne Włoch na terenie Libii. Ale w parę miesięcy później — w okresie sankcji, — gdy w rozmowie z Konradem Wrzosem poruszy ten sam temat: „z oczu jego padały gromy. Słowa jego były twarde. Gesty gwałtowne”.

Z pałacu Weneckiego, gdzie dyktator i trybun ludu w jednej osobie sam jeden podejmuje decyzje, które przejmują cały świat cywilizowany, przynosi nas Fajans w inną zgoła atmosferę — do biblioteki Miguela de Unamuno w Salamance. Autor *Istoty Hiszpanii* był jednym z największych i najgłębszych myślicieli i pisarzy ostatniej doby. Wielokrotny rektor jednego z najstarszych uniwersytetów europejskich był kilka razy pozbawiany swego urzędu ze względów politycznych, by wreszcie zakończyć swe nieustraszone życie w zupełnym opuszczeniu. O tragedii swego narodu mówi z troską patrioty ale i z odwagą nieprzejednanego indywidualisty. „Narodowy hymn niemiecki stał się drugim hymnem mojej ojczyzny, a Giovinezza — trzecim. My nie potrzebujemy trzech hymnów” — mówił ten Baskijczyk, który na początku rewolucji był całą duszą z gen. Franco. Treściwą analizę wypadków politycznych, które poprzedziły wybuch rewolucji, daje pierwszy prezydent republiki — wówczas już wygnaniec — Alcala Zamora. Wreszcie w książce Wrzosa otrzymujemy jeszcze jedno oświetlenie sprawy hiszpańskiej z ust ówczesnego premiera Azanii.

Oto dzieje których rozdział ostatni czeka nas dopiero w najbliższej przyszłości. Rozmowa z kanclerzem Schuschniggem dotyczy rozdziału zamkniętego. Gdy przed niespełna rokiem kanclerz Austrii przyjmował polskiego dziennikarza w swym gabinecie, do którego wchodziło się przez wielką salę kongresu wiedeńskiego, gdzie w zeszłym stuleciu układano nowy porządek Europy, nie jeszcze nie zapowiadało, że w kilka miesięcy później w tym samym pałacu Ballhausu zostanie ustalony nowy porządek, który zmiecie jego ojczyznę z mapy świata. Było to w niedługi czas po zawarciu umowy austriacko-niemieckiej, której podstawowym warunkiem było poszanowanie niezależności i integralności Austrii... Dodajmy zresztą nawiasem, że układ ten przez pewne czynniki poza-austriackie był interpretowany w tym kierunku, że miał jakoby za zadanie stopniowo przygotowanie anszlusu.

Interesujący jest w wywiadzie z Schuschniggem passus dotyczący zagadnienia Niemców sudeckich. Całość sprawy czechosłowackiej — w stadium poprzedzającym katastrofę — została oświetlona obszernie w rozmowach Fajansa z Beneszem, Henleinem, ks. Hlinką i Sidorem. Rozmowy te odbyły się niemal bezpośrednio po śmierci Masaryka. W potocznej opinii polskiej trwa przeświadczenie, że tragedia czecha nie miała prawie prologu — ostatni jej akt przysłonił nam całkowicie stadium przygotowawcze. Toteż warto może przypomnieć słowa Benesa wypowiedziane we wrześniu 1937 r.: „Jeśli Europa opuści nas, jeśli postawi nas samych oko w oko z Niemcami, niech nikt nie zgłasza do nas później pretensji, jeśli armaty Skody, tak jak w roku 1914, będą znowu ostrzeliwały Paryż”.

Ten pobieżny przegląd treści książki Fajansa orientuje nas w jej charakterze. Autor w *Sylwetkach i rozmowach* zebrał te wywiady które dotyczą najważniejszych spraw politycznych dzisiejszego świata. Inne były założenia kompozycyjne tomu Wrzosa. *11 głów narodów i armii* — to galeria postaci które zapisały się w najnowszych dziejach Europy. Obok wywiadów przeprowadzanych w związku z pewnymi wydarzeniami, tom obejmuje niektóre rozmowy z cyklu *Kiedy znowu wojna*, zebrane w oddzielnej książce, oraz odpowiedzi na ankietę, jaką prowadził autor przed kilku laty, na temat kryzysu parlamentaryzmu. W obecnym tomie Wrzosa akcent główny spoczywa nie na rzeczowej stronie wywiadów, ale na samych sylwetkach rozmówców.

Z szeregu naszkicowanych postaci jedna tylko znalazła oświetlenie w obu publikacjach: Mussolini. Sylwetka dyktatora Italii rysuje nam się wyraziście. Portret Fajansa wypadł może bardziej monumentalnie. Czy jest przez to mniej prawdziwy? Chyba nie. Jeśli w ujęciu Wrzosa Mussolini jest bardziej ludzki i „zwykły”, to prawdopodobnie dlatego że rozmowa z autorem *Yerba mate* zawierała nie tylko wyznania polityczne, ale i pewne akcenty osobiste. Porównanie obu rozdziałów poświęconych Mussolinemu jest interesujące nie tylko jako charakterystyka jednej postaci dokonana przez dwóch ludzi, ale przede wszystkim przez to, że odsłania metodę pisarską obu autorów. Fajans ma zacięcie bardziej, chciałoby się powiedzieć, „epickie”. Wywiady jego komponowane są z wyraźną troską o artystyczny ład, o stopniowanie wrażenia; poprzedza je zazwyczaj krótka ale wyraziście sylwetka bohatera. Gruntowna wiedza, sumiennosc w możliwie pełnym przedstawieniu tematu, obiektywizm, a przy tym styl urozmaicony, nierzadko barwny, skrywiający dyskretnie sympatie autora — to cechy które stawiają pisarstwo Fajansa na pograniczu literatury.

Wrzosa porównywano niejednokrotnie z Knickerbockerem, który sławny na wszystkich kontynentach zdobył sobie i u nas duży rozgłos. To porównanie wytrzymuje Wrzosa bez najmniejszego szwanku dla swego zawodowego honoru. Cechuje go ten sam niezwyły „wdech dziennikarski” — doskonale wyczuł aktualności, umiejętność docierania do najpewniejszego źródła informacji, ta sama zdolność charakteryzowania indagowanych postaci kilkoma szkicowymi rzutami i migawkowość w naświetlaniu problemów. Szkice jego posiadają wszystkie zalety i wady roboty pośpiesznej: świeżość obserwacji, żywość reakcji własnej, ale i pewną niedbałość opracowania, nużąca czasami migawkowość w ujmowaniu zagadnień. Jego sposób pisania, nie wychodzący poza felietonową zręczność, cechuje jakby stała „zadyszka” spowodowana pośpiechem: wydaje się że na słowach jego nie zdążył jeszcze zaschnąć atrament. To powoduje, że jego relacje z wydarzeń już przebrzmiałych czyta się z takim zainteresowaniem, jakby nie starło ich aktualności. Swą służbę informatora opinii publicznej spełnia Wrzosa wręcz znakomicie.

KAZIMIERZ SOWIŃSKI

REHABILITACJA PATOSU

A. HESCHEL: *Die Prophetie*. Kraków. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności. Prace Komisji Orientalistycznej nr 22. Skład gł.: Gebethner i Wolff.

W dziejach kultury religijnej ludów starożytnego Wschodu prorocтво biblijne jest zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju, fenomenem bez precedensu i głębszej historycznej analogii. Najbardziej swoisty jego rys stanowi zasięg treści proroczej wizji i wynikający z niego program działania proroka, jako zwiastuna i głosiciela woli Bożej. Obejmuje on, obok walki z przerstami rytualizmu pochłaniającego żywą treść wiary, troskę o zdrowie moralne narodu i trwałość jego niezależnego państwowego bytu. Z tym wybitnie realistycznym, choć wybiegającym często w daleką przyszłość i nie pozbawionym eschatologicznych akcentów nastawieniem, zdają się nie liczyć najbardziej rozpowszechnione interpretacje, wyolbrzymiające rolę pierwiastka irracjonalnego w akcie proroczym i wyjaśniające jego istotę przez analogię do stanu ekstazy lub inspiracji poetyckiej.

Krytyce tego poglądu poświęcona jest pierwsza polemiczna część pracy dra Heschla. Głównym jej celem jest immanentna analiza świadomości proroka i form jego ustosunkowania się do Boga. Nie chodzi autorowi o analizę w sensie wyjaśniającym, genetyczno-psychologicznym, o badanie psychologicznych źródeł przeżycia poszczególnych proroków, lecz o czysto opisowe ujęcie ogólnej struktury i logicznego sensu proroczego aktu. Ostrze polemiki Heschla skierowane jest przede wszystkim przeciwko ekstazy koncepcji prorocтва, wysuniętej po raz pierwszy przez filozofa hellenistycznego - żydowskiego Filona z Aleksandrii, który twierdził, że nie ma prorocтва bez ekstazy. W obszernym historycznym i rzeczowym wywodzie wykazuje autor całkowitą rozbieżność między przeżyciem proroka a stanem ducha ekstazy. Celem ekstazy jest zjednoczenie się z bóstwem przez unicestwienie osobowości, przez roztopienie się w nim, „jak sól w wodzie”. Ekstazy zrywa wszelki kontakt z rzeczywistością, by móc zbliżyć się do rzeczywistości idealnej, absolutnej, Bóstwa. Ten swój czysto osobisty cel osiąga on w sferze irracjonalnej mistycznych wzruszeń i doznań, gdy — mówiąc językiem średniowiecznego mistyka chrześcijańskiego Ryszarda z St. Victor — Racheli umiera przy porodzie Beniamina, gdy ziemskość i doczesność ustępują miejsca całkowitemu uduchowieniu.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z prorokiem biblijnym. Jego celem nie jest poznanie bóstwa, ani utożsamienie się z nim w akcie mistycznej miłości (*unio mystica*), czego biblijny judaizm, ze względu na ustalony i nieprzekraczalny dystans między człowiekiem a Stwórcą, w ogóle nie dopuszcza, lecz spełnienie pewnego posłannictwa o zupełnie konkretnym i realnym historycznym celu. Występując jako wysłannik Opatrzności, pełni rolę pośrednika między nią a sferą ludzkich spraw, na które chce oddziaływać zgodnie z wolą Bożą, poznaną w proroczym akcie. Najważniejszym niewątpliwie argumentem na rzecz poglądu autora jest fakt, iż prorocy sami uważali

stany ekstazy za najistotniejsze znamię fałszywego prorocтва. Nawiązując do tej istotnej okoliczności Heschel twierdzi, iż w terminie „prorocтво ekstazy” zawarta jest wewnętrzna sprzeczność („Ekstatische Prophetie erscheint unter solchen Aspekten als contradictio in adiecto”). Są to bowiem sprawy całkowicie od siebie różne, nie dające się sprowadzić do jednego wspólnego mianownika.

Przystępując do przedstawienia własnego poglądu na treść aktu proroczego, autor ustala jako jego element zasadniczy *boski patos*, w szerokim sensie wyrazu, tj. cały zespół uczuć, wyrażających stosunek Jehowy do narodu w danej chwili dziejowej, a więc gniew, miłość, radość, niechęć itp. Istotę swego zadania prorok upatruje w odtwarzaniu i „przekazywaniu” narodowi w szacie słownej treści patetycznego napięcia między Jehową a jego narodem, w wyjaśnianiu sensu rozgrywającego się między nimi dramatu, w ostrzeganiu przed katastrofą, nawoływaniu do poprawy i pokuty, w dążeniu do przemiany sytuacji patetycznej ujemnej na dodatnią, gniewu w miłość, niechęci w przychyłność itp. W oddzielnych rozdziałach opisuje autor treść boskiego patosu u różnych proroków, ilustrując swoje wywody obfitym materiałem cytowanym.

Osobistą reakcją proroka na treść wizji jest uczucie *sympatii*, w dosłownym znaczeniu wyrazu, tj. współodczuwanie z bóstwem, uczestniczenie w jego radości i smutku. Prorok nie jest obojętnym wykonawcą boskich zleceń, budzą one w nim silny uczuciowy rezonans, nadający jego przeżyciu piętno osobistej tragedii. Tym też tłumaczy się niezwykła sugestywność i uczuciowa dynamika jego słowa. Jest on bowiem wykładnikiem dwóch różnych elementów: *boskiego patosu i ludzkiej sympatii*, które w przeżyciu proroka tworzą organiczną, uczuciową całość. Zawsze jednak stosunek między prorokiem a Bogiem pozostaje w granicach „wewnętrznego dialogu”, nie przyjmując nigdy formy całkowitego utożsamienia, zmiennego dla stanu ekstazy.

Istotny sens książki Heschla można by określić krótko jako *rehabilitację patosu*, przywrócenie do teologicznej czci kategorii, która we wszystkich trzech religiach mono-teistycznych stała się przyczyną zawiłych dialektycznych operacji, zmierzających do wyeliminowania z idei Boga elementów patetycznych, pocztywanych za konieczne odstępstwo na rzecz ludu, niezgodne do pojmanowania Boga, jako istoty metafizycznej. Walka filozofów religijnych z uczuciowością w koncepcji Boga powstała na podłożu wpływów filozofii greckiej, w której patos, jako określenie wszelkiego wzruszenia (patos znaczy po grecku dosł. cierpienie), był synonimem cierpienia i bierności ducha, zaciemniającej jasność sądu i nie liczącej, oczywiście, z bóstwem, które może być tylko czystym działaniem i czystą myślą. Odrzuciwszy grecką interpretację patosu, podejmuje Heschel po raz pierwszy w literaturze filozoficzno-religijnej apologię patetycznego Boga, rozwija koncepcję patetycznej teologii, która jest logiczną konsekwencją jego poglądu na istotę prorocтва.

J. B.

¹ ROMAN FAJANS: *Sylwetki i rozmowy*. Str. 176. Warszawa 1939, Tow. Wyd. Z. Kozierkiewicz. Skład gł.: Biblioteka Polska. — KONRAD WRZOSA: *11 głów narodów i armii*. Str. 261. Warszawa 1939, Tow. Wyd. „Rój”.

ROMAN KOŁONIECKI

AMERYKAŃSKI SZEKSPIR

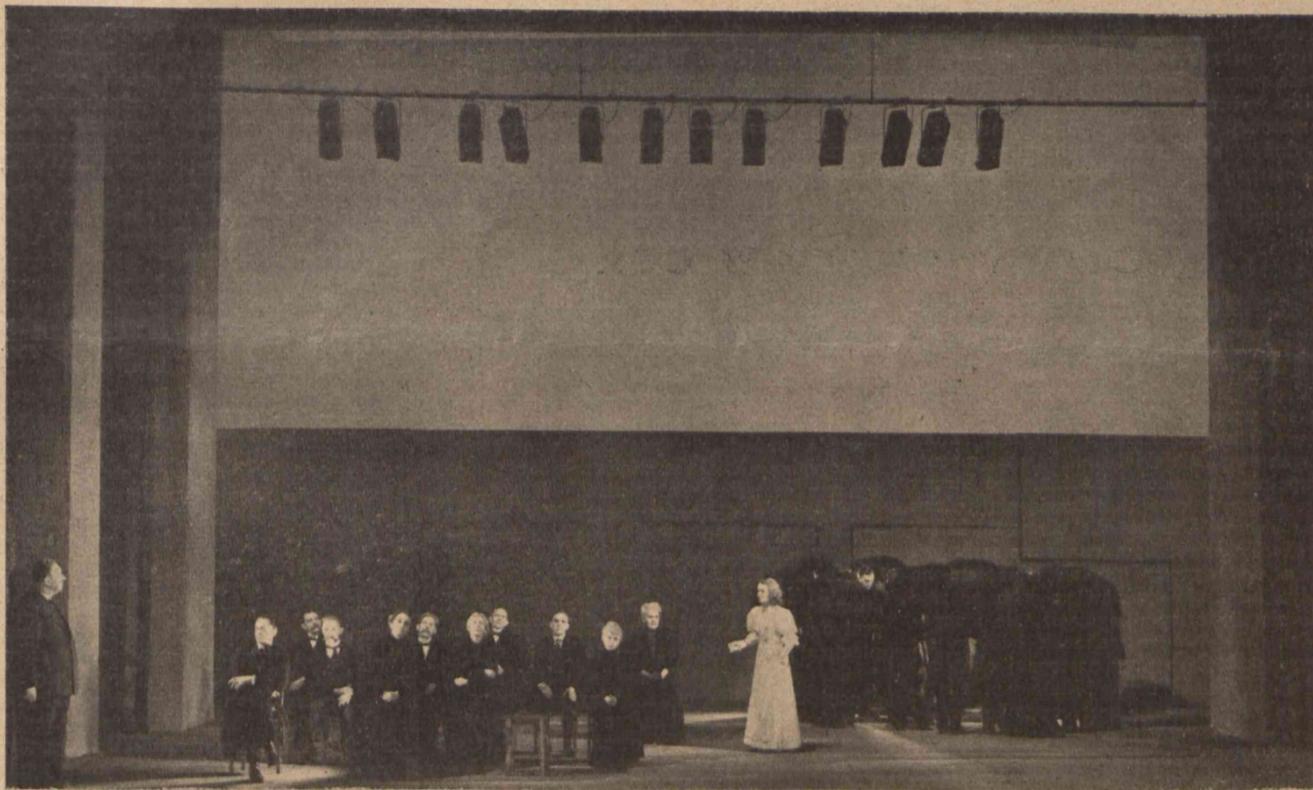
TEATR NARODOWY: *Nasze miasto*, sztuka w 3-ach aktach Thorntona Wildera. Przekład Julii Rylskiej. Reżyseria: Leon Schiller. Scena i kostiumy: Stanisław Cegielski.

Wystawienie sztuki Wildera w Teatrze Narodowym jest czynem artystycznym niepowседневnej wagi. Pokazano nam arcydzieło, które jako wizja literacka i sceniczna obraca w niwecz konwencjonalne pojęcia o teatrze i dramacie, tkwiące w sferze naszych przyzwyczajęń. Sztuka genialnego pisarza amerykańskiego wyzwala energię uczuciową i intelektualną widzów metodami tak prostymi i odkrywczymi, że nawet się nie spostrzega jak pęka więź schematów i nalogów, tamujących niepokromioną wrażliwość wyobraźni. Powracamy jakby na nowo w krąg cudownych pejzażów dzieciństwa, zrównanych z urodą bajek pierwotną świeżością widzenia. Nie nowatorstwo dramatopisarskie, nie wymyślne chwytły ekspresyjne podziwiamy w sztuce Wildera, lecz tę naiwną prostotę, ten boski dotyk prawdy, któremu na imię: oryginalność. Z pozornego bezformia, z liturgii pustych gestów i szablonowych masek wynurza się znienacka kształt wyraźny i doskonały: tę niespodzianą chwilę zwiastuje przypływ wzruszenia.

Tajemnicą, którą Wilder objawia, jest powszednie życie człowieka. Układa się ono w kontrpunkt nieodmiennie płynących dni, znaczących na przemian czarnymi i czerwonymi cyframi kalendarza; ten kalendarz zyskuje wymiary pisanej epopei, obejmującej swym rytmem całość ludzkich przyziemnych spraw. Błahe codzienne zajęcia mieszkańców *Naszego miasta* sprzegają się w ład przedziwny, kryjący w sobie ciemny sens istnienia; każda chwila jest tutaj porą mistycznych nawiedzeń, które tak skrętnie Angelus Silesius notował w zwyciężonych dystychach. Właśnie z treści tych chwil przemijania, znikomej i zagadkowej, powstają wszelkie dzieje; szczytki prastarych miast babilońskich zdołały przekazać potomnym kilka królewskich imion, ale nie mogły zachować trwałych śladów żywej powszedniości; to dlatego historia ich — milczy. Rozumiał to dobrze Norwid, kiedy — pragnąc ukazać nieśmiertelne piękno ojczyzny, jakoby na zawsze zepchniętej w morze śmierci — odsłania w *Rozebranej cud powszedniego życia ojczystego*: oto „dzieci o pewnej godzinie — *Gdzieś* do szkół idą; — Oracz wywleka plug, i Wisła płynie, — I Warta z Nidą“. Podobnie postąpił Wilder, zamknawszy w *Naszym mieście* wymowną kronikę świata.

Nazwiska ludzi, żyjących dziś w Grover's Corners, brzmią tak samo jak nazwiska wyrte na najstarszych nagrobkach ementarza. Nazwiska te są właściwie przygodnymi pseudonimami jednej postaci — postaci Everymana z angielskiego moralitetu: symbolizuje ona zbiorowość i przeciętność. Czym się różnią „szarzy ludzie“ Wildera od tych wspaniałych monolitów ludzkich, jakie spotykamy np. u Szekspira? Bohater rodzi się wtedy, gdy płynny czas na mgnienie oka zastygnie, gdy rozebrzmi donośnie osobliwe imię, gdy się spiętrzą rzadkie okoliczności. Anonimowe rodziny sąsiedzkie Webbów i Gibbsów, raz skłócone — raz pojednane, wymierają od wieków licznymi pokoleniami, powtarzając bez końca miłość George'a i Emilki w tysiącach miast podobnych do Grover's Corners. Szekspir wybrał jedno stulecie, jeden kraj, jedno miasto, jedno pokolenie; miasto nazywał Weroną, rodziny ochrzcił mianem Kapuletów i Montekich, a kochankom przydał imiona Romea i Julii. Szekspirowskiej Weronie nie ma na żadnej mapie — istnieje ona tylko w wyobraźni, jak Atlantyda zanurzona w fale. Położenie Grover's Corners określa Wilder jak najdokładniej, a jednak znaleźć je można pod każdą długością i szerokością geograficzną. Możemy uwierzyć na słowo, że akcja sztuki Wildera rozgrywa się w przedwojennej Ameryce, ale tej Ameryki nie poznajemy: gdzież ów gotycki Manhattan, który tak zachwycił Le Corbusiera, gdzie fabryki filmów i samochodów, sabaty czarnej giełdy, rekordomania i gangsterzy?

Ale ta Ameryka byłaby za konkretna, a Wilder sięga przecież ponad czasy i lądy. Przejęła go kiedyś monotonia krajobrazu Nowej Anglii i jednego z jej zapadłych miasteczek, którego nikt nie ośmieliłby się nazwać miejscem jedynym na świecie. Tak myśli jednak o Grover's Corners — dr Gibbs. Bieg powszedniego życia nie budzi w nim niepokoju, nie marzy więc — jak



„NASZE MIASTO“ THORNTONA WILDERA W TEATRZE NARODOWYM (AKT III)

jego żona — o mirażach dalekich podróży. Może podczas wycieczek na pobojowiska Wojny Domowej dowiedział się od zmarłych, że szczęściem za które zginęli była właśnie błogość życia w Grover's Corners. Każdy dzień mówi mu o tym mieście i o istocie istnienia więcej niż geologia, antropologia i statystyka; mówi mu jednak niewiele. „Żyjemy, jakby nas kto pozamykał w małych pudełkach“, — mówi Reżyser; życie, widziane z takiej perspektywy, naprawdę może się wydać — jak ongi Szekspirowi — „opowieścią idioty pełną hałasu i furii, a pozbawioną wszelkiego sensu“. Umarli, zamknięci również w „małych pudełkach“ — w trumnach, sprawiedliwiej oceniają świat, posiadający drogienny sekret nieśmiertelności: jednostajne życie w Grover's Corners obfituje w skarby nieopłacone, bo uczy skutecznie jednego — uczy umierać tak, „jak się od piersi matki łagodnie odwyka“ (Rilke). I dlatego właśnie Grover's Corners jest miastem błogosławionym, choć i tu ludzie błądzą, szaleją i cierpią.

Wilder przeniósł je całe *in idea* na scenę: odsłonił nagie deski, rozsunął kulisy

i skąpe rekwizyty, by każdy sam wywołał Grover's Corners z przestrzeni i rozbudował je według własnego zamysłu. Ilekroć teatr jest światem — ziemią, niebem i piekłem, scena zawsze świeci groźną pustką. Tak było w średniowiecznym teatrze misteryjnym, tak szkolil imaginację teatr elżbietański, tak uzbraja ascetyczne swe wizje tradycyjny teatr chiński. Przypomina się tutaj znakomite przedstawienie *Złotego płaszcza* w Teatrze im. Bogusławskiego: jak niezwykle iluzję stwarzały śmieszne blachy, mające chrząstka imitować burzę! Teatr Wildera wymija tę uroczą naiwność, bo narusza ona czystość symboli i ekspresję umownych gestów. Aktorzy w *Naszym mieście* wchodzi na scenę spomiędzy krzeseł widowni, odzywają się z górnej galerii, lecz nie chodzi tu wcale o efekt, o dwoistość, dwuwartościowość fikcji teatralnej — jak to jest u Jewreinowa czy Pirandella: rzeczywistość Wildera jest wyłącznie teatrem, jednolitą projekcją symboliczną, która pojawia się i niknie w obecności widzów.

Wizja *Naszego miasta* nie rozwija się z gotowych wątków, lecz dopiero konkretyzuje się jakby w czasie przedstawienia,

którym kieruje Reżyser. W jego osobie czuwa na scenie sam autor, demonstrując swe dzieło kolejnymi etapami jego powstawania, ewolucją luźnych asocjacji: jest to jakby *Work in Progress*, utwór narastający — wynalazek artystyczny Joyce'a. Dzięki temu eksperymentowi, autor osiąga nieograniczoną swobodę ruchów. Korzysta z niej przede wszystkim Reżyser, nie krepowany żadnymi pełnomocnictwami, zostawiony niejako własnej woli; ten Reżyser w *Naszym mieście* przypomina ubranego w tużurek Boga Ojca z *Zielonych pastwisk* i prezesa Niedziela z *Człowieka który był Czwartkiem* Chestertona. Jako *alter ego* autora, może bez błędu wykladać intencje mocodawcy: metafory Wildera są proste, jak w przypowieściach biblijnych; łatwo je zastąpić odpowiednimi równoważnikami ideowymi. Wilder — dramaturg zrzucił z siebie cały balast dotychczasowych doświadczeń literackich poprzedników, wzgardził nowością sytuacji, wymyślnością konfliktów, ich powikłań i rozwiązań. Z góry wyrzekł się wszelkich najzaszczytniejszych nawet genealogii, zrezygnował z pomocy precedensów i dobrodziejstw szkoły techniki. Nie chce



JADWIGA KURYLUKÓWNA (Emilia Webb)



JERZY ROLAND (George Gibbs)

mieć ani przodków ani potomków: prawdziwe arcydzieła są zawsze plodem samoródtwa.

Od lat nie oglądaliśmy tak świetnego przedstawienia, jak *Nasze miasto*. Reżyseria Schillera przez skrupulatne poddanie się wizerunkowi autora osiągnęła świetne rezultaty. Skromnie i trafnie skonstruował scenę Stanisław Cegielski. Prawdziwy triumf odnieśli jednak przede wszystkim aktorzy — i to prawie wszyscy bez wyjątku. Zelwerowicz z wielką wprawą korzystał z niemal boskich kompetencji wilderowskiego Reżysera. Pp. Kurylukówna i Roland subtelnie odtworzyli nastrój liryczny swych partii, odczyli

postacie George'a i Emilii czarem czystej poezji. Hamowaną dynamiką dramatyczną odznaczały się kreacje pp. Małyniczówny, Chodeckiego i Brydzińskiego. Rzetelnym wkładem pracy i talentu wyróżnili się także ponad banalne pochwały pp. Dominiak, Jakubińska, Krzymuska, Łapiński, Solarzski i Cygler. Małutkie epizody dyskretnie uplastycznili pp. Chmurkowski (Joe Stoddard) i Ciecierski (Prof. Willard). Dzięki zgodnemu wysiłkowi aktorów, *Nasze miasto* w Teatrze Narodowym prowokuje prawdziwy wstrząs etyczny — ów akt mistycznego oczyszczenia, który opisał w swej poetyce Arystoteles.

ROMAN KOŁONIECKI

„POTOKI” RYMKIEWICZA

ALEKSANDER RYMKIEWICZ: *Potoki* — poezje. Nakł. Zw. Zaw. Literatów Polskich w Wilnie. Wilno 1939.

Profil poetycki Rymkiewicza zarysował się wyraźnie już w *Tropicielu*. Trudno nie darzyć zaufaniem pisarza, który zaczyna swą działalność od książki mocnej i zupełnie dojrzałej. Zaufanie ze strony czytelników i krytyki zobowiązuje jednak także pisarza. Uznanie dla pierwszej książki, choćby nawet była ona rewelacją, jest zawsze do pewnego stopnia uznaniem na kredyt, bilansuje się bowiem jako pozycje dodatnie nie tylko osiągnięcia, ale i zapowiedzi. Właściwy rozrachunek odbywa się zazwyczaj dopiero przy następnej okazji.

Potoki trudno nazwać sukcesem poety. To, co w książce tej jest cenne i wartościowe, znamy już z *Tropiciela*; to, z czym spotykamy się po raz pierwszy, wzbudza niepokój. A więc przede wszystkim — przedwczesne zmanierowanie. Trudno znaleźć wiersz Rymkiewicza, w którym nie byłoby mowy o grobach, trupach, płonących miastach, głowach zatkniętych na spisy. Groźne proroctwa, ponure przeczucia, koszmarnie wizje wracają raz po raz, wytwarzając aurę posępną i przytłaczającą. Ostatecznie jednak, kiedy przebrniemy przez wszystkie te okropności, pozostaje wrażenie raczej romantycznej opery, rojącej się od wątpliwości, czartów, potępieńców, śpiewających pięknymi głosami banalne arie. Apokaliptyczne wizjonerstwo Rymkiewicza pozbawione jest głębszych uzasadnień. To nie pesymizm metafizyczny, właściwy Edgarowi Poe czy Leopardiemu, gwarantuje i uzasadnia rymkiewiczowy teatr okropności, ale tylko czysto literackie wpływy Miłosza i Zagórskiego, a także poetów rosyjskich. Kiedy Rymkiewicz przechodzi od fantastycznej makabry do spraw bardziej ziemskich, okazuje się że nie jest reprezentantem ani pesymistycznego ani w ogóle żadnego jako tako zorganizowanego światopoglądu i wypisuje po prostu naiwne banały, które ratuje po części tylko jego niewątpliwie wysoki kunszt stylistyczny (*Rzeczpospolita*, *Rapsod wileński*).

Każde sięgnięcie wyżej daje u Rymkiewicza efekty niewspółmierne z zamierzeniami: jego Jeremiaszowe proroctwa (*Do pani A*, *Jedenaście wierszy*, *Trzy wiersze rosyjskie*) rażą swoją literackością, brakiem głębszej motywacji. Miejscami poeta przypomina Ligockiego, podrabiającego atmosferę wierszy Micińskiego przy zupełnym braku niesamowitej wręcz zdolności fantazjotwórczej autora *W mroku gwiazd*. Poezja Rymkiewicza jest poezją ściśle literacką. Motywy poezji romantycznej (zwłaszcza Słowacki), liryki rosyjskiej w typie Błoka i Briusowa, czy wreszcie wileńskich Zagarystów są dla niego jedynymi niemal źródłami poetyckiej inspiracji. Toteż najlepiej wypadają właśnie te wiersze Rymkiewicza, w których autor porzeka na stworzeniu jakby nowego wariantu znanego motywu (*We troje*, *Zimowa noc*).

Nie można jednak stanowczo uznać Rymkiewicza wyłącznie za zdolnego tech-

nika-wierszopisa. Mierzył on po prostu w *Potokach* zbyt wysoko, możliwości talentu okazały się zbyt ograniczone w stosunku do twórczych ambicji i dlatego właśnie na plan pierwszy wysunęła się w tym tomie umiejętność techniczna. Rymkiewicz posiada prawdziwie poetycką wyobraźnię, w najslabszych nawet wierszach tomu spotykamy metafory oryginalne i świeże, świadczące o zdolności poetyckiej widzenia świata i zamykania lirycznych nastrojów w konstrukcje integralnie poetyckiej mowy metaforycznej („...a Wisła orłem świeciła na dnie”, „Świt grajek trawom grał o mnie na morzach, na chmurach, na pianach”). Rymkiewicz — to poeta o dużych możliwościach, ale znajdujący się obecnie na złej drodze. Pomyłką jest cała jego kassandro-makabra, z której powinien się jak najrychlej otrząsnąć, jak również nieszczęsny brak krytycyzmu w stosunku do ogranych motywów literackich, które poeta bardzo pomysłowo przerabia i odnawia, ale które nadają jego liryce piętno wtórności.

Cały dramat polega na tym, że bogaty przyrodzony talent Rymkiewicza jest eksploatowany dorywczo i bezplanowo, że jego rozwój nie idzie w parze z intensywną pracą intelektualną. Rymkiewicz jedzie na intuicji i talencie „jako takim”, no i na obfitej znajomości poezji dawnej i nawet najnowszej. Ale to wszystko nie wystarczy, żeby zostać poetą w pełnym tego słowa znaczeniu twórczym, poetą kształtującym świadomość swej epoki. Czasy epatowania „czystym” talentem skończyły się. Poezja bez dogmatu, bez ujawnionej pośrednio, w kategoriach formy poetyckiej, naprawdę nowej i ważnej wizji świata — choćby nawet zawierała sto procent talentu — już nie wystarczy. Jesteśmy bardziej wymagający.

STEFAN LICHANŃSKI

„TAJEMNICE ŁYSOGÓR”

Tajemnice Łysogór Tadeusza Dybczyńskiego (wyd. Pań. Wyd. Książek Szk.), publikacja przeznaczona wyłącznie na użytek młodzieży szkolnej, ujmując w formie gawędziarskiej podstawowe dane geologiczno-geograficzno-historyczne, dotyczące ziem kieleckiej, mieszkańców jej wsi i miasteczek, tudzież podań, legend, pamiątek i zabytków sztuki i dzieł rąk ludzkich. Rozdziały inteligentnie ilustrowane zdjęciami autora opowiadają szczegółowo o Łysicy i jej okolicach, o gołoborzach i puszczach na jej stokach, o drodze na Łysą Górę, o niej samej i o Świętym Krzyżu, o Witosławicach, Modrzewiowej Górze i Bodzentynie, o najbardziej uczęszczanym szlaku Gór Świętokrzyskich, rodzimych stronach Stefana Żeromskiego, wreszcie o samych Kielecach i kopalniach marmuru, najszlachetniejszego kamienia Łysogór. Książeczka spełnia doskonale rolę ilustrowanego podręcznego przewodnika i jako taka godna jest polecenia wszystkim, zaś turyści znajdą tu niejedną cenną informację i drogowskaz.

IGNACY WIENIEWSKI

CEZAROWE ORLĄTKO

Z kilku małżeństw, które Gaius Julius Caesar zawierał kolejno, żadne nie przyniosło mu upragnionego syna. Swe uczucia ojcowskie mógł przełożyć na jedyną córkę Julię, zmarłą zresztą już w wieku 29-ciu lat (r. 54 przed Chr.), w czasie gdy Caesar wojował w Galii. Nie było jednak syna, który by poprowadził dalej rozpoczęte dzieło. I podczas gdy Napoleon doczekał się swego „orlątka”, które miało być spadkobiercą idei wielkiego ojca, Caesar... Tak, Caesar doczekał się go również, ale było to dziecko, urodzone pod jeszcze fatalniejszą gwiazdą, niż nieszczęsny „Król Rzymu”. Brzemie geniuszu ojcowskiego przytłoczyło synów Caesara i Napoleona i stało się źródłem ich katastrofy życiowej; ale Napoleon II zaznał przynajmniej tego szczęścia, że jego ojczyzna i cały świat widziały w nim prawego dziedzica korony i sławy ojca. Szczęście to nie przypadło w udziale *Caesarionowi*.

W r. 48 prz. Chr. Caesar stanął u szczytu potęgi. Pod Farsalos rozgromił jedynego godnego siebie rywala, Pompejusza, co dało mu faktyczną władzę nad całym imperium. Gdy Pompejusz uciekł do Egiptu, zwycięzca podążył za nim, a otrzymawszy w Aleksandrii wiadomość o zamordowaniu swego wroga, postanowił przy sposobności wnieść się w sprawy egipskie, by ugruntować tam wpływy Rzymu. Toczył się mianowicie spór o tron między niepełnoletnimi pretendentami, Ptolemeuszem Dionysosem i jego szesnastoletnią siostrą Kleopatry. Caesar uczynił się rozjemcą. Nie trudno było najpiękniejszej kobiecie starożytności przekonać imperatora, że po jej stronie jest słuszność... Wkrótce kochanek młodej królowej uległ jej czarowi równie silnie, jak później Antoniusz. Caesara, dla którego ongi królowa maurytańska, Eunoe, była zwykłą przygodą żołnierską, ogarnęła teraz namiętność, czyniąca go ślepym na wszystko.

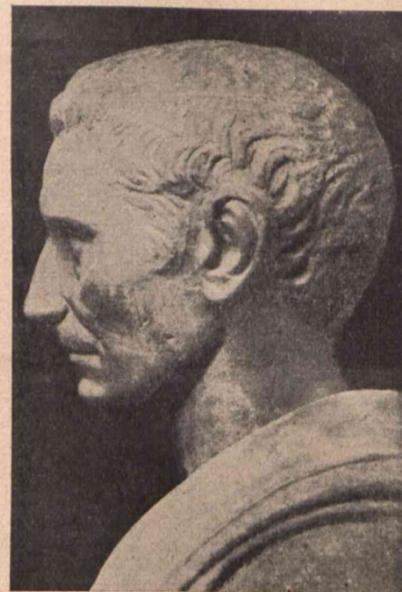
Gdy więc przez całą zimę r. 48/47 tonął w upojeniu miłosnym, wrogowie jego mogli swobodnie działać. Pompejańczycy zreorganizowali swą armię, a Aleksandria powstała przeciw Rzymianom. Caesar zdobył ją wprawdzie z końcem marca 47 r., ale już z początkiem kwietnia wyruszył wraz z Kleopatry, która zaszła tymczasem w ciążę, w romantyczną podróż Nilem w górę rzeki. Podróż nazywała się oficjalnie wyprawą wojenną, gdyż Caesar ciągnął za sobą wojsko; nie dali się jednak oszukać legionści i kiedy dotarli już niemal do granic Etiopii, odmówili posłuszeństwa, domagając się powrotu. Wódz nie upierał się i po dwu miesiącach skończyła się sielanka na Nila. Przybywszy do Aleksandrii w czerwcu, musiał się pożegnać z Kleopatry, gdyż wypadło mu wyruszyć do Syrii, a potem do Azji Mniejszej przeciw Farnacesowi, nad którym odniósł świetne zwycięstwo („veni, vidi, vici”).

Ale rozłąka kochanków nie trwała długo, Kleopatry, która z końcem r. 47 urodziła syna, sprowadził Caesar z początkiem r. 46 do Rzymu, gdzie pozostała aż do śmierci dyktatora i wyjechała dopiero w kwietniu 44 r. Mieszkała z królewskim przepychem w dzielnicy „ogrodów Caesara” za Tybrem, wywołując ogólną sensację. Sensacja przerodziła się w zgorszenie i oburzenie, gdy Caesar kazał ustawić posąg królowej w świątyni Venus Genetrix.

A tymczasem rósł syn Caesara i Kleopatry, Ptolemeusz Caesar, zwany Caesarionem (Kaisarion). Miał być fizycznie podobny do ojca; miał mieć jego charakterystyczny chód. Ale nie poza tym nie wiemy o tym dziecku i jego charakterze, a kto by chciał oprzeć opowiadanie o tragicznych losach Caesariona na jego charakterystyce, musiałby w braku świadectw historycznych puścić wodze wyobraźni. Ograniczmy się więc do przytoczenia suchych faktów, te zaś są dostatecznie wymowne.

Już w r. 45 Kleopatra mianowała Caesariona współregentem Egiptu. Czy jednak syn imperatora tam tylko miał panować? Czy nie jego miał uczynić bezdzielny Caesar swym następcą w Rzymie? Caesar bynajmniej nie robił tajemnicy ze swego ojcostwa: zgodził się przecież na nazwanie chłopca „Caesarem”. Ale nie mógł go uznać za prawego potomka, gdyż prawo rzymskie nie dopuszczało adopcji nieślubnego dziecka; ponadto sprzeciwilaby się temu opinia rzymska, skoro jawny stosunek Caesara, wówczas męża Calpurnii, z Kleopatry budził ogólne zgorszenie. Dlatego dyktator w swym testamencie, spisany w r. 45, usynowił nie Caesariona, lecz 18-letniego Oktawiana.

Po tragicznym marcu 44 r., spadkobiercy idei zaprowadzonego, Antoniusz i Oktawian, uznali Caesariona nie tylko za współ-



JULIUSZ CEZAR

regenta, ale nawet za króla Egiptu, równego matce co do dostojności. Z chwilą jednak zaostrzenia się stosunków między oboma triumwirami, stosunek Oktawiana do Caesariona stał się zdecydowanie wrogi. Zarówno bowiem Antoniusz jak jego przeciwnik zrozumieli, że *rodzony* syn Caesara stanowi niebezpieczeństwo dla syna *przybranego*. Antoniusz nie zważał się uczynić nieszczęsnego chłopca atutem politycznym w swej grze przeciw rywalowi, przeciwstawiając Oktawianowi Caesariona, jako bardziej uprawnionego dziedzica Caesara. Oświadczył więc wobec senatu, że Caesarion jest synem zamordowanego dyktatora i oświadczenie to potwierdził w swym testamentie. A uczynił to wobec pogłosek, że Caesar nie był ojcem chłopca. Kiedy po kilku latach Oktawian dostał w swe ręce testament Caesarion, los „orlątka” był przypieczętowany. Jak owo drugie „orlątko” w 19 wieków później, miał Caesarion paść ofiarą tragicznego dziedzictwa i intryg politycznych.

Metternichem, obawiającym się syna wielkiego ojca, był więc tu Oktawian. A przebiegły Antoniusz nie przestawał dolewać oliwy do ognia. W r. 33, związany już na śmierć i życie z Kleopatry, odbył on triumf po zwycięstwie w Armenii, a odbył go nie w Rzymie, z którym właściwie zerwał, lecz w Aleksandrii. W uroczystości wziął udział Caesarion, siedząc na tronie obok Antoniusza i Kleopatry. Czternastoletni już wtedy chłopiec otrzymał tytuł „króla królów”, a co pod względem prawnym ważniejsze, został uznany za pełnoletniego. Było to wyzwanie dla Oktawiana: wymownie bowiem stwierdzał Antoniusz, że żyje pełnoletni syn Caesara i że ten syn, jako władca Egiptu, czeka na objęcie spadku politycznego po ojcu. To był drugi już wyrok śmierci na Caesariona.

Teraz wypadki potoczyły się szybko. Doszło do ostatecznej rozgrywki między Antoniuszem a Oktawianem. Kleopatra, drząc o życie syna, wysłała go do Etiopii z wielkimi skarbami, pod opieką Rodona, jego wychowawcy. Z Etiopii miał młodzieniec udać się do Indii. Tymczasem przyszło pierunujące zwycięstwo Oktawiana pod Actium w r. 31. Wówczas przekupiony przez Rzymian Rodon namówił Caesariona do powrotu, tłumacząc mu, że Oktawian, który jest już w Aleksandrii, wzywa go tam, by mu ofiarować tron egipski. Caesarion usłuchał go i poszedł naprzeciw swej zguby. Dostał się w moc Oktawiana w chwili, gdy nie był już Antoniusz, gdy zginęła tragicznie Kleopatra (r. 30). Oktawian, który oszczędził dzieci Antoniusza i Kleopatry, zastanawiał się, czy i wobec nieszczęśliwego młodzieńca nie okazać się łaskawym. Ale jego doradca, filozof Arejos, trawestując słowa Homera („niedobrą rzeczą jest wieloładztwo”), miał mu powiedzieć: „Niedobrą rzeczą jest wielo Cesarstwo”. Słowa te trafiły w sedno obaw Caesara Oktawiana i stały się trzecim, ostatecznym wyrokiem śmierci na Caesariona: Oktawian kazał go stracić.

Oto mniej więcej wszystko, czego możemy się dowiedzieć o „Cezarowym orlątku” na podstawie skąpych wzmianek historyków (Suetoniusa, Plutarcha, Cassiusa Diona). Ale to, co wiemy, wskazuje na wyraźną analogię między losami „króla królów” i „króla Rzymu”. Obaj synowie wielkich ojców, dźwigający na dzieciennych barkach gigantyczne dziedzictwo, stali się pionkami w ręku polityków i padli zmiażdżeni przez zmagające się siły. IGNACY WIENIEWSKI

ROSYJSKIE KSIĄŻKI

wydane w Z. S. R. R.

LITERATURA, SZTUKA, TECHNIKA, MEDYCYNA i in.
PRENUMERATA CZASOPISM

Ostatnie nowości:

STANISŁAWSKIJ: Rabota aktora nad soboj
MOSKOWSKIJ: Chudożestwiennyj Teatr w ilustracjach
REJNAK: Istoria Iskustw (Apołlon)

ZOSZCZENKO: Rasskazy 1937—1938
SZACHMATNYJ: Jeżegodnik, 2 tomy
KLUCZEWSKIJ: Istoria Rossii, 5 tomów
PUSZKIN: Połnoje Sobranie Soczinienij

Szczegółowe katalogi według specjalności wysyłamy bezpłatnie

Księgarnia J. STRAKUN, Warszawa, Chmielna 1
róg Nowego Świata

ŻYCIE LITERACKIE Z ZAGRANICY

P. A. L. NA CENZUROWANYM

Podczas dyskusji sejmowej nad budżetem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego pos. Józef Dobkowski zaatakował Polską Akademię Literatury jako instytucję, oraz kilku jej członków. Ponieważ trudno otrzymać wyciąg z odpowiedniego stenogramu, tekst tego przemówienia znany jest jedynie z relacji prasowych; zawiera on sformułowania niezrozumiałe i przykre. A już takie zdanie: „Godzę się nawet na przyznanie 100.000 zł na popieranie kultury, ale trzeba wiedzieć, za co się płaci” — ubliża po prostu godności literatury polskiej, która jeszcze na razie (na szczęście!) nie jest wykonawczą żadnym płatnych zamówień, ale twórczością wolną i bezinteresowną. I nie to jest smutne, że podobne zdanie z mównicy sejmowej padło, lecz to że żaden z posłów nie stanął w obronie poważnej instytucji, cieszącej się przecież oficjalnym poparciem rządu, i zdyskwalifikowanych przez p. posła pisarzy.

Wystąpienie pos. Dobkowskiego, dzięki temu że słowa wypowiedziane w sejmie zyskują szeroki rezonans, podważa autorytet Akademii i pozycję moralną pisarza polskiego. Jeśli — zdaniem p. posła — struktura czy skład osobowy Akademii nie jest właściwy, należałoby zainteresować Ministra W. R. i O. P. o zmianę statutu Akademii lub regulaminu dotyczącego kooptacji nowych Akademików; oczywiście, taka interwencja mogłaby odnieść skutek tylko wtedy, gdyby stały za nią motywy merytoryczne. Niestety, poglądy pos. Dobkowskiego na istotę i rolę literatury nie są nikomu dotychczas znane i dlatego jego wypad krytyczny zawisł w próżni, budząc tylko nie mile zdziwienie.

OD „UŚMIECHU” DO „ZMÓR”

Z okazji trzydziestolecia pracy pisarskiej Emila Zegadłowicza ukazał się szkic popularny Marii Koszyc pt. *Od „Uśmiechu” do „Zmór”*, wydany nakładem Klubu Demokratycznego w Bielsku. Szkic ten, napisany stylem zawiłym i ciężkim, skomponowany bardzo nieudolnie czy pośpiesznie, zawiera reasumpeję twórczości Zegadłowicza w połączeniu z jego biografią. Autorka bez przerwy utrzymuje się w rejonach entuzjazmu, porównuje Zegadłowicza z Rabindranathem Tagore, Romainem Rollandem i Tolstojem. Pozytywnie pisarską Zegadłowicza we współczesnej literaturze polskiej określa jako wyjątkową, szermując przy tym chaotycznie (i bardzo tendencyjnie) wybranymi głosami o twórczości autora *Zmór*, a zwłaszcza o samych *Zmorach*. Tak np. nie przytacza autorka poglądów Zawadzkiego na wartość poetyckich utworów Zegadłowicza — chociaż wiadomo skądinąd, jak bardzo opinię tego krytyka ceni. Lektura tego „szkicu popularnego” Marii Koszyc zostawia wrażenie dość przykre, gdyż przez nasilenie akcentów pochwalnych, a zarazem przez obfitość danych, które mogą pochodzić wyłącznie od Zegadłowicza — wydaje się utworem świadomie inspirowanym.

INICJATYWA „COMOEDII”

Józef Maśliński, redaktor *Comoedii*, rzuca w ostatnim numerze tego miesięcznika myśl, by nagrodę za piękną polszczyznę, którą — począwszy od bieżącego roku — dysponować będzie Polska Akademia Literatury, przyznać jako pierwszemu — Józefowi Czechowiczowi. „Wychowany na mowie lubelskiej — pisze Maśliński, — Czechowicz zadziwia organicznie wprost pięknem swych fraz, nawet najbardziej kałkolomnie awangardowych. Wrodzony mu jest instynkt niezawodny, nie dopuszczający błędów, dyktujący pisarzowi tok słów melodyjny jak u nikogo chyba z żyjących, o ekspresji wyrazistej, pewnej, oszczędnej i zwieżłej. Czytanie głośno wierszy Czechowicza jest wprost fizjologiczną przyjemnością... Nagrodzenie doskonałego poety tą właśnie nagrodą będzie miało wielką wagę moralną dla całego pokolenia”.

FIK I CZERNIK

Nakładem krakowskiej Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Ignacy Fik wydał ostatnio niewielką książkę pt. *Dwadzieścia lat literatury polskiej (1918—1938)*, stanowiącą dalszy ciąg *Rodowodu społecznego literatury polskiej*. Obiema tymi pracami w jednym z najbliższych numerów *Pionu* zajmujemy się obszerniej; na razie tylko stwierdzimy, że kryteria użyte przez Fika obracają się w kręgu najpopularniejszych tez marksizmu, interpretowanych chwilami po prostaku i prowadzących do zgoła niewiarogodnej interpretacji różnych zjawisk historyczno-literackich. W przeciwieństwie do artykułów Fika drukowanych np. w *Pionie*,

obie prace książkowe tego autora cechuje sztywny schematyzm i jałowe doktrynerstwo. Jeśli krytyk występuje jako materialista, niech już będzie przynajmniej taki jak Bronowicz...

Równie osobliwą pozycją ruchu wydawniczego jest ostatni numer *Okolicy Poetów*, zawierający pracę Stanisława Czernika pt. „Dwadzieścia lat poezji polskiej (1918—1938). Szkic — próba antologii — bio- i bibliografia”. Autor stworzył w niej coś w rodzaju dziecinnych „komórek do wynajęcia”, w których umieścił poetów „góry” i poetów „nizin” społecznych (nie wyciągając z tego podziału konsekwencji w ich charakterystykach), a także literacki obozisk koncentracystyczny, w którym zamknął poetów pochodzenia semickiego. Obok krytyków-materialistów staje więc oto pierwszy krytyk-rasista. „Rozpatrywany okres pozostaje pod wyraźnym wpływem poetów semickich — pisze Czernik, — wpływem tak wybitnym, że otrzymuje od niego niemal główny kolorystyczny”. Niestety, nie sprecyzował dokładnie, w czym się wyraża ów „swoisty wpływ” i „kolorystyczny”. Pracą redaktora *Okolicy* zajmujemy się wkrótce skrupulatniej; w tej chwili warto zanotować, że red. Piasecki ogromnie się antologią Czernika ucieszył: tak mistrz cieszy się wiernością ucznia.

EPITAFIA JALU KURKA

Polskiej literaturze epitafijnej, tak wielką i zaszczytną mającej u nas tradycję a tak dziś zaniedbaną, przybyła książka serdeczna i piękna: Jalu Kurka *„Drzewo boleści — płacz po zmarłych rodzicach”*. „Pozwólcie mi — pisze poeta w słowie wstępnym — uczcić ten akt bolesny, w podwójnym skrzyżowaniu śmierci okrutny; pozwólcie mi na spowiedź, na pół prywatną, na pół ogólnoludzką”. Tomik, wydrukowany w 175 egzemplarzach jako książka niesprzedana, składa się z dwóch części: „Na śmierć ojca” i „Na śmierć matki”; zarówno jedna jak i druga zawierają po kilka poematów prostych w ekspresji i przejmujących.

SATYRA SPRZED 17 WIEKÓW

W serii słuchowisk klasycznych usłyszeliśmy dnia 24 bm. dialog Lukiana z Samosaty pt. *Kogut*, nadany z Krakowa w opracowaniu Władysława Madydy. Jest to udratyzowany traktat o cierniach i nędznych bogactwach. A więc utwór z tezą moralną. Ale jak żywy, pełny humoru i kapitalnego dowcipu! Albowiem Lukian, tęgi kaznodzieja (wywodził się przecież ze szkoły Diogenesa z Synopy), potrafił być równocześnie dosyć rubasznym trefnisiem. Jego utwory to zarazem dialogi filozoficzne, jak i barwne sceny obyczajowe, jak i wreszcie gromkie satyryczne wypadki. I jeszcze dzieła o przedziwnej, urzekającej fantastyce. Nie zapominajmy, że *Podróże Guliwera* zrodziły się z natchnienia tego syryjskiego wagałundy, który nie znalazłszy ukojenia dla swej sceptycznej i zmiennej natury w Rzymie, przewędrował wszystkie niemal szkoły filozoficzne i kawał ówczesnego świata, by na starość osiąść w Egipcie i oddać się życiu praktycznemu.

Kogut należy do tej serii utworów Lukiana, które w licznych naśladowaniach przetrwały czasy nowożytne. A jakkolwiek fantastyka akcesoriów literackich autora, naówczas świeża i wynalazcza, straciła już nieco blasku w naszych oczach, to za to rehabilituje go całkowicie niezwykle wprost poczucie realizmu. Najbardziej nawet oderwanymi od rzeczywistości utworami umiał właśnie trafiać rzeczywistość w samo serce, pełne niepokoju, przeżarte grubym materializmem, ale pełne równocześnie tęsknoty do jakiegoś stałego ponadzmysłowego porządku.

Mieszanie najbardziej wybujałej fantastyki z surowym realizmem, bogów ze zwykłymi śmiertelnikami, filozofów z przedstawicielami fauny — to była niejako specjalność Lukiana. Nie darmo sławę swą zawdzięcza opowieści o młodzieńcu zamienionym w osła. W *Kogucie* w postaci wrzaskliwego ptaka objawia się nam właśnie filozof. Nie jest to zwykła alegoria. Albowiem *Kogut* jest którymś tam z rzędu wiecieniem Pytagorasa. Ten prosty chwyt pozwala Lukianowi wykić jednocześnie teorię metempsychozy i odmalować groteskowymi rysami sylwetkę tego najbardziej chyba małomównego z greckich filozofów, który rezultat swych przemyśleń zwykł był zamykać w krótkie formuły geometryczne. Według prawa kompensacji ten mruk, asceci i jarosz jest teraz gadułą i łakomczuchem. Oto mamy próbkę satyry Lukiana: złośliwej, plastycznej, a zarazem aż do ubóstwa oszczędnej w środku literackiej.

Znany już jest tytuł nowego dzieła Jamesa Joyce'a, o którego ukończeniu donosiliśmy, a które było drukowane fragmentami pod tymczasowym tytułem *Work in Progress* (Dzieło powstające). Tytuł ten brzmi: *Finnegans Wake*.

Międzynarodowy konkurs muzyki od twórczej odbędzie się w Genewie w ostatnim tygodniu czerwca i w pierwszym tygodniu lipca bieżącego roku. Mogą brać w nim udział muzycy wszystkich krajów, którzy nie ukończyli jeszcze 30-u lat życia. Pierwsza, z grubszą ujęta eliminacja dokona się drogą anonimową: uczestnicy grać będą za parawanem, a jury wówczas dopiero zapozna się z nazwiskiem grającego, gdy oceni go pozytywnie. Najlepsi wykonawcy wystąpią do drugiej eliminacji „z otwartą przyłbicą”, po czym ci spośród nich którzy zostaną nagrodzeni, dadzą koncert z towarzyszeniem *Orchestre de la Suisse Romande*. Koncert ten będzie transmitowany przez radio. Ustanowiono sześć nagród, po 1000 franków każda — dla najlepszego pianisty i pianistki, najlepszego skrzypka i skrzypaczki, oraz najlepszego śpiewaka i śpiewaczki; cztery dalsze nagrody, po 500 franków każda, przeznaczono dla czterech instrumentów dętych: fletni, oboju, klarnetu i fagotu; wreszcie dwie nagrody tysiącfrankowe przeznaczono dla najlepszego szwajcarskiego, ewentualnie w szczególności genewskiego, uczestnika konkursu. Komitet honorowy, któremu przewodniczy będzie Paderewski, składać się ma z przedstawicieli władz szwajcarskich i genewskich oraz z dyplomatów największych krajów, w kolegium jurorów zaś wezmą udział wybitni przedstawiciele życia muzycznego całego świata.

Na uniwersytecie w Bratysławie została utworzona katedra języka i literatury polskiej. Na jednym z uniwersytetów polskich powstanie w najbliższym czasie katedra historii i literatury słowackiej.

Rodzina młodo zmarłego Maksymiliana Kronenberga, znanego pod imieniem Maxi-

mina, wydała obecnie jego spuściznę rękopiśmienną — *Nachlass*. Obejmuje ona pamiętnik, rozmowy z Georgem i własne młodzieńcze wiersze Maximina. W pamiętniku znajdujemy m. in. relacje o pierwszym spotkaniu z Georgem, o odwiedzinach George'a w domu rodziców Maximina, oraz o sympozjonach literackich Stefan George-Kreisu (kręgu artystów, przede wszystkim poetów, grupujących się dokoła Stefana George'a, odbywanych w domu poety Wolfskehl).

Ryszard Strauss napisał obecnie swą pierwszą w życiu muzykę filmową — jest to wale dla filmu o Monachium.

E. F. Burian zamierza sfilmować *Węgry Łukaszową*, inscenizację dramatyczną noweli Bożeny Beneszowej, która stanowiła wielki sukces repertuarowy kierowanego przez Teatru D39.

16 kwietnia Charlie Chaplin będzie święcił 50-lecie swych urodzin. Godzi się pamiętać o tym jubileuszu jednego z czołowych artystów epoki. W Stanach Zjednoczonych, a także w innych krajach, odbędą się z tej okazji tygodnie chaplinowskie. Kilka jego dawnych jednoaktówek, które mu zdobyły sławę, zaopatruje się obecnie w synchronizację muzyczną i dźwiękową.

Norweskie Towarzystwo Biblijne wydaje obecnie pierwszy przekład Pisma Świętego na język nowo-norweski.

Ukazała się nowa powieść Somerseta Maughama — *Christmas Holiday*.

Pojawiły się w Anglii dwie nowe książki o Coleridge'u: E. K. Chambersa *Samuel Taylor Coleridge* i Lawrence'a Hansona *The Life of S. T. Coleridge* (Życie S. T. Coleridge'a).

Tom studiów o ekspresjonizmie niemieckim — *Expressionism in German Life, Literature and the Theatre (1910—1924)* (Ekspresjonizm w niemieckim życiu, literaturze i teatrze (1910—1924)) — wydali Angliacy Ryszard Samuel i R. Hinton Thomas.

Ernest Toller napisał nowy dramat, tytuł jego: *Pastor Hall*.

W Londynie otwarto wspólną wystawę plastyki Johna Heartfielda (niegdyś uczestnika ruchu dadaistycznego, reprezentującego w jego szerokich ramach kierunek „tutlnistyczny”) i Oskara Kokoschki.

Ukazały się studia krytyczne Doroty M. Hoare o współczesnej prozie angielskiej — *Some Studies in the Modern Novel*. Omówieni są tu James Joyce, Wirginia Woolf, E. M. Forster, D. H. Lawrence, H. James, K. Mansfield i inni.

Świeżo wyszła z druku powieść biograficzna Heleny Ashton *William and Dorothy*. Autorka, opierając się na pamiętnikach Doroty Wordsworth daje obraz życia prywatnego, wzajemnych stosunków osobistych uczestników „Kregu Wordsworthowskiego” (byli nimi m. inn. Coleridge, Lamb, Walter Scott). Piękno krajobrazu angielskiego przewija się przez tę książkę jako niepośledni element jej substancji literackiej.

Pamięć Karola Czapka uczczono w Pradze publiczną uroczystością żałobną. Uczestniczyli w niej tłumy ludzi, wśród nich mnóstwo młodzieży.

W *Revue Internationale de Musique* — artykul Aleksandra Tansmana o muzyce polskiej.

Nowy dramat muzyczny Kurta Weilla, autora muzycznego tekstu *Opery za trzy grosze*, pt. *Knickerbocker Holiday* (libretto Maxwella Andersona) — cieszy się dużym powodzeniem w Nowym Jorku, gdzie odbyła się niedawno jego prapremiera.

Trzy nieznanne dotychczas listy Shelleya przekazał pewien pułkownik angielski w darze towarzystwu *The Friends of the National Libraries*. Listy te pisał Shelley w Pizie w roku 1820 i 1821 do przyjaciela swego Medwina, przebywającego w Genewie. Zawierają one bardzo interesujące uwagi Shelleya o twórczości Byrona (którą podziwiał) i własnej.

Gmach festiwalów salzburskich ma być w najbliższym czasie gruntownie przebudowany według projektów architekta scenicznego państwowych teatrów niemieckich, prof. Benno v. Arenta. Zapowiedzi gloszą, że przebudowa ta ukończona będzie jeszcze przed rozpoczęciem tegorocznego festiwalu.

Val Gielgud, popularny pisarz angielski (*gente Polonus*) wydał nową książkę pt. *The Red Account*.

O POWIEŚCI KOBIECEJ

Ostatni wieczór wtorkowy w Związku Zawodowym Literatów Polskich wypełnił odczyt Aury Wyleżyńskiej n. t. *Miłość i przeszłość w powieści kobiecej 1938*. Prelegentka omówiła kolejno książki Gojawiczyńskiej, Krahelskiej, Wasilewskiej, Jareckiej, Stefani Zahorskiej, Kuncewiczowej, Boguszewskiej, Ukniewskiej i Szeplińskiej. Rewia piór kobiecych nie została podciągnięta pod jakiś wspólny mianownik wniosków ogólnych. Po odczycie wywiązała się krótka dyskusja, w której zaznaczyły się różne stanowiska za i przeciw poszczególnym autorkom, postaciom oraz ujęciom powieściowym.

K. S.

P R O B L E M Y D N I A

KSIĄŻKI NADESŁANE

Biuro Studiów i Planowania Obozu Zjednoczenia Narodowego prowadzi na szeroką skalę zakrojone prace badawcze, których realne wyniki mają stanowić podstawę programu społeczno-kulturalnego. Już chociażby ten fakt jest wielce znamienny, że poważna organizacja polityczna przedsięwzięła i wykonywała prace, które w bieżących rozgrywkach politycznych nie zapewniają jej żadnych sukcesów i na oko wydają się mało efektywne. Przed paroma tygodniami ukazała się pokaźna broszura pt. „Problem upowszechnienia wartości kulturalnych”; w broszurze tej znawcy i specjaliści poszczególnych dziedzin tzw. życia kulturalnego obrazują ich stan aktualny i perspektywy rozwoju. Poprzednio ukazała się broszura, oświetlająca wszechstronnie zagadnienie analfabetyzmu w Polsce.

Artykuł Bolesława Wasylewskiego w *Gazecie Polskiej* (Nr 51) pt. „Organizacja kultury”, nawiązując do danych cyfrowych zawartych w powyższych wydawnictwach O. Z. N., pisze pod adresem tych, „którzy w tak ostry sposób przeciwstawiali się stosowaniu elementów „planowej organizacji” w życiu kulturalnym”: „...po tej lekturze nie będą już chyba chcieli roztrząsać teoretycznych zagadnień, czy można czy też nie można organizować kultury, ale zgodzą się z tym, że — trzeba i że to już najwyższy czas”. Wasylewski zwraca przede wszystkim uwagę na sprawy praktyczne, które narzuca potężna wymowa cyfr; walczy z głęboko zakorzenionym przesądem, że rozpowszechnienie wartości kulturalnych nastąpi automatycznie, jak tylko zatrąca się ostatnie ślady kryzysu gospodarczego. Sam dobrobyt nie rodzi potrzeb kulturalnych — takie czynniki, jak „głód estetyczny”, pęd do samokształcenia, poznanie wartości wytworów duchowych, przyspieszają proces rozpowszechniania kultury niezwykle skutecznie. Społeczny aparat propagandowy musi działać już teraz, nie czekając na „złoty wiek” powszechnego dostępu: ów „powszechny dostatek” jeszcze długo, a może nawet zawsze będzie mitem, i źle by było, gdybyśmy zwrócili się do kultury dopiero w okresie nasyceń i lenistwa.

Jak wiele jest do zrobienia np. na odzinku krzewienia polskiej kultury muzycznej, możemy się przekonać z zarysu planu działania, uchwalonego na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu Towarzystwa Wydawniczego Muzyki Polskiej i ogłoszonego w styczniowym numerze miesięcznika *Muzyka Polska*. Ten „zarys planu działania” ujęty został w lapidarnie sformułowane postulaty, dotyczące m. in. sprawy umuzykalnienia młodzieży, upowszechnienia muzyki wśród mas, elitarnych i społecznych instytucji muzycznych, amatorstwa muzycznego, muzyki kościelnej, szkolnictwa muzycznego, opieki nad talentami, wydawnictwa muzyki polskiej, ochrony zawodu, roli Polskiego Radia, itd. Liberalnych pięknośników i panicznie nastrojonych antytalantów przeraża zapewne fakt, że Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej, skupiające wybitnych działaczy, teoretyków i krytyków, uchwaliło m. in. następującą doniosłą tezę: „Upowszechnienie kultury muzycznej, rdzennie polskiej, musi być popierane, organizowane i kontrolowane przez państwo. Ogrom wysłuchanych w niniejszym planie zagadnień, będących tylko najpilniejszą częścią koniecznych spraw, wymagać będzie wzmocnienia i reorganizacji urzędu kierowniczego. Urząd taki winien być wyposażony w odpowiednie środki budżetowe, których wysokość musi odpowiadać potrzebom i umożliwić realizację planu”. St. Szpinalski i St. Wiechowicz w gruntownie przemyślanych artykułach motywują i precyzują szczegóły tego planu działania. *Horror*: artyści i kompozytorzy polscy — a więc twórcy we własnych osobach — domagają się powstania „ośrodka dyspozycyjnego”!... Jak widzimy, sztuka jakoś nie boi się widma dyktatury, które śni się po nocach ortodoksyjnym demokratom i doktrynerskim apostołom wolności.

W rzędzie tych Don Kichotów, walczących z wiatrakami totalizacji grożącej kulturze, stoi od dawna Marian Czuchnowski. Ostatnio w nrze 2A „miesięcznika literackiego młodych” pt. *Próby* Czuchnowski raz jeszcze formuluje program „literatury na froncie”: „Czego... chcą i chcieli zawsze pisarze chłopscy i proletariacy? Wolności, wolności i jeszcze raz wolności. Wszystkie inne rzeczy, nie wyłączając swobody tworze-

nia, muszą sobie wywalczyć sami, bijąc się we wspólnym sojuszu z masami chłopskimi i robotniczymi przeciw faszyzmowi, dyktaturze burżuazji i naciskowi biurokracji”. Doprawdy, słowo „wolność” działa na niektórych demokratów jak alkohol, jak narkotyk... Oszołomieni dźwiękiem tego słowa, zapominają, że żadna dyktatura nie usunie indywidualnej odpowiedzialności twórców za własne dzieła i że ta osobista odpowiedzialność stanowi zawsze ostatnią instancję. — W sukurs Czuchnowskiemu przychodzi na lamach *Prób* — Rafał Len.

Józef Maśliński nie rozpaczal długo nad zwłokami nieboszczki „Kolumny Literackiej” *Kuriera Wileńskiego*, lecz szybko i sprężysto zmontował sobie inną placówkę w postaci „pisma poświęconego sprawom sztuki i kultury współczesnej” pt. *Comoedia*. Numer drugi tego miesięcznika, na którym pracę redaktorską Maślińskiego widać we wszystkich szczegółach, przynosi m. in. artykuł, który najbardziej nas zainteresował: Jerzego Stempowskiego „Teatr jako przedmiot masowej konsumpcji”. Stempowski opiera swe rozważania na podstawowym stwierdzeniu, że „każdy większy wzrost frekwencji w teatrach pociąga za sobą nie tylko wzrost ilości teatrów i potrzebę budowania obszerniejszych sal, ale także zmiany głębsze, wkraczające w dziedzinę teatru jako zjawiska artystycznego”. „Najdonioślejszym skutkiem znacznego wzrostu ilości widzów — pisze autor — zdaje się być rozluźnienie kontaktu między kierownictwem teatru i gustami widowni”; przykład owego fantastycznego dyrektora Mourier jest tu istotnie jaskrawy. Ilość „znawców” w stosunku do ogólnej ilości widzów teatralnych zmalała obecnie do minimum; opinię ich reprezentują w pewnym stopniu kierownicy teatrów; w związku ze wzrostem kosztów własnych gospodarki teatralnej — czują się oni zależni w polityce repertuarowej od „szerokiej” publiczności, której gusty usiłują odgadnąć, gdyż ta „szeroka” publiczność nie ma żadnego oficjalnego organu opiniotwórczego. Obniżenie poziomu repertuaru wynika właśnie z tego „odgadywania” gustów, liczących się z najwulgarniejszymi instynktami i upodobaniami mas.

Artykuł Stempowskiego, obfitujący w przebiegły wszechstronnej erudycji i utrzymany w tonie swobodnym, gawędziarskim — podobnie jak artykuł tego autora na temat krytyki teatralnej w *Piórze* — nie przynosi żadnych ważkich dla chwili bieżącej wytycznych; istotną wartość dla socjologii teatru może mieć spostrzeżenie Stempowskiego, że o publiczności teatralnej nie wiemy dziś i nie umiemy powiedzieć nic, prócz tego że — chodzi do teatru; upodobania tej publiczności nie są jednolite i nie ma sposobów, by je jakoś zbadać i ustalić. — Poza artykułem Stempowskiego znajdujemy w ostatniej *Comoedii* wnikliwe uwagi Maślińskiego o *Równaniu* serca Przybosa, fragment noweli Dygasińskiego, wyjątki z listów Grotgera

dotyczące spraw teatralnych, humoreskę Gałczyńskiego, aktualia wileńskie itd. Na uwagę zasługują doskonale karykatury, robione przez Maślińskiego, i piękne reprodukcje kilku dzieł Ruszczyca.

Lutowy zeszyt wydawanego na Śląsku „miesięcznika literacko-artystycznego” *Fantana* w artykule wstępnym pt. „Nieszczęśliwe wyniki nieszczęśliwych założeń”, pióra Zdzisława Obrzuda, bardzo krytycznie ocenia pracę Ignacego Fika *Rodowód społeczny literatury polskiej*, przy czym wnioski swe opiera autor na wnikliwym i skrupulatnym zreferowaniu teoretycznych przesłanek Fika, które decydująco zaważyły na jego sądach i reasumpcjach. — *Fantana* drukuje także kilka wypowiedzi z ogłoszonej przez siebie ankiety w sprawie śląskiej nagrody literackiej. Wszyscy uczestnicy ankiety wypowiadają się zgodnie za stworzeniem nie tylko śląskiej nagrody literackiej, ale także artystycznej i naukowej. Rozbieżności istnieją tylko, jeśli idzie o stosunek do tych, którzy by mieli te nagrody otrzymać: niektóre głosy ankiety każą wybierać kandydatów do nagród tylko spośród rodowitych Ślązaków, inne — biorą pod uwagę także tych pisarzy, artystów i naukowców, którzy są swoją twórczością ze Śląskiem związani.

Dwutygodnik literacko-społeczny *Wiry* (Nr 2) zawiera atak na dzisiejszych krytyków poezji (St. R. Dobrowolski: „Krytyka z natchnienia”). Żeby wykażać ignorancję i brak kompetencji dzisiejszej krytyki, autor uzbroił się we fragmenty tekstów Duhamela, Mickiewicza, Krasińskiego i Norwida, a także sporządził pomysły i rzeczywiście zabawny cytatomontaż z recenzji poetyckich. Nie zmienia to jednak faktu, że zarzuty autora są gołosłowne; najmłodsze pokolenie literackie posiada w swych szeregach wielu interesujących i dobrze się zapowiadających krytyków, którzy wykazują nie tylko dużą wiedzę teoretyczną, lecz także kulturę literacką i wrażliwość.

Nowy numer *Kamenu* przynosi na wstępie piękny artykuł J. A. Szczepańskiego „Na powrót Tatr do Polski”, oraz szereg doskonałych wierszy Brzękowskiego, Przybosa i innych. Aniela Fleszarowa drukuje tu wspomnienie o Bronisławie Michalskim. Skromnie na skrajny okładki redakcja zamieszcza wymowny „Apel do czytelników”: „Stawiamy sprawę szczerze: egzystencja *Kamenu* jest zagrożona. Pismo opiera swój byt jedynie na prenumeracie. Nie zwracaliśmy się nigdy i nie zwracamy dzisiaj z prośbą o ofiary na fundusz wydawniczy. Ale apelujemy do naszych przyjaciół i sympatyków, by regularnie wpłacali należność za pismo i jednali nam nowych prenumeratorów. A do tych czytelników, którym dotychczas wysyłałymi egzemplarz bezpłatnie, zwracamy się z prośbą, by poparli efektywnie nasze wydawnictwo i zaprenumerowali *Kamień*”.

ŻYWA TRADYCJA POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

Świetną i płodną kulturalnie myśl miał Instytut Reduty, organizując cykl trzech poranków pod wspólnym hasłem „Żywa tradycja poezji współczesnej”. Bo przecież poezja współczesna, wszystkie kierunki i odmiany nowoczesnej poezji, wszystko to, co ciągnie się od kubizmu, futurizmu, formizmu, poprzez dadaizm, nadrealizm i inne nazwane lub nienazwane prądy i tendencje, a ujmowane bywa ogólnym mianem awangardy poetyckiej — nie narodziło się nagle pewnego dnia niktąd, ale jest wynikiem myśli artystycznej i dążenia wyobraźni, które ma swoich pięknych poprzedników, inicjatorów, prekursorów w pewnych uświatach poetów epok poprzednich. Blake, Büchner, Achim von Arnim chociażby — to zapowiedzi i pierwsze świty tego, co później rozkwitnąć miało i rozrósł się szeroko, narzucając światu nowe kształty piękna i wyobraźni, formując nowe odczuwanie i nową psychikę człowieka. U nas prekursorem nowych form poezji teraźniejszej był przede wszystkim — w większym jeszcze stopniu niż Słowacki — Tadeusz Miciński. Jego więc twórczością rozpoczęła Reduta cykl poranków, mających ukazać żywe związki łączące poezję nowoczesną ze swymi poprzednikami.

Przeżyliśmy z tej okazji w niedzielę jeden z najpiękniejszych, najgłębiej porusza-

jących sympozjonów poetyckich, jakie przeżyć nam było dane. Zaproszony przez Redutę do udziału w poranku Józef Czechowicz pięknie i przykuwająco ukazał w swym „słowie wstępnym” konterfekt Micińskiego. Wychodząc z jego życiorysu, poprzez formowanie się jego zainteresowań duchowych, dał obraz poglądów metafizycznych i sztuki autora *W mroku gwiazd*, *Nietoty*, *Bazyliissy Teofanu*, *Księdza Fausta*. Przechodząc do prekursorstwa Micińskiego w stosunku do Nowej Sztuki dzisiejszej, stwierdził poeta współczesny, że ono to było przyczyną, dla której dzieło jego wydawało się niezrozumiałe jego współczesnym z okresu Młodej Polski. Dziś, dla nas, czytelników Joyce’a, dzieła Micińskiego tak dzwienne budowane jak *Nietota* jasne są w swej logice artystycznej, a *Ksiądz Faust* jest — w porównaniu z Joyce’em — lekturą niezmiernie łatwą. Ale nie tylko w sposobach artystycznych ujawnia się prekursorstwo Micińskiego, lecz i w jego wyobraźni. Był on jednym z największych w poezji i literaturze naszej fantazjotwórców. Cytatą wiersza Micińskiego rozpoczął i skończył Czechowicz swe przemówienie. Pp. Halina Gallowa, Jan Kochanowicz i Jarosław Skulski przypomnieli nam bardzo pięknymi i skupionymi recytacjami szereg wierszy autora *W mroku gwiazd*.

A. R.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Koloniecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński